



N^o 41. Prenumerata w Warszawie rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół. **Warszawa, 7 października 1876 r.** Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie kwartalnie rs. 3. **Tom II.**

Treść numeru. Przewrócony wózek (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Korespondencya z Poznania. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kopia obrazu Gierymskiego. Łąka leśna (drzeworyt). — Pod kościołem (drzeworyt). — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Kopernik jako ekonomista (dokończenie). — Przy czytaniu (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Śmierć Wirginii (z drzeworytu). — Pojedynek szlacheckich, komedia (dalszy ciąg). — Kronika paryzka. — Bałagula (drzeworyt). — Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg). — Wpływ ciśnienia powietrza na istoty żyjące (dalszy ciąg). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

PRZEWROCONY WÓZEK.

Obraz E. Lejeune'a.

Pan Lejeune należy niewątpliwie do najlepszych malarzy rodzajowych nowej szkoły francuskiej. Specyalnością jego są sceny z życia rodzinnego, które z niepospolitym wdziękiem i prawdą odtwarzać umie.

W obrazie, którego kopią tu podajemy, widzimy jeden z tych epizodów, tak często powtarzających się w świecie dziecięcym. Gromadka wiejskich niedorostków wyjechała na drogę pod las drewnianym wózkiem, w którym zasiadł tryumfalnie starszy trochę chłopczyk, z powierzonym swęj pieczy tłusciutkim bębnem. Wózek, zawdziwszy snadź o kamień, przewraca się nagle. Ciągających go dwoje dzieci widocznie nie wie

jeszcze o wypadku i pędzi dalej bez frasunku. Mała tylko dziewczynka, biegnąca z boku, spostrzegłszy co się święci, z trwogą podnosi rączki i rzuca po za siebie wzrok niespokojny. Tryumfator improwizowanego rydwanu, pomimo grożącego mu potłuczenia, nie traci ani na chwilę miłej wesołości, zapomniawszy widać o dzieciaku, którego trzymał na kolanach, a który z wystawionymi naprzód rączkami wyleciał już z wózka.



Jest-to rys junakieryi chłopięcój, bardzo trafnie przez malarza pochwycony. Całość obrazu tchnie swobodą, właściwą wszystkim prawie dziełom jego twórcy.

Kronika tygodniowa.

Z ustaniem dęszców, wiatrów i grzmotów, gdy na niebie słońce zabłysło całym przepychem blasku, miasto nasze pożegnało letnich swoich gości, a Tivoli, Eldorado i Alhambra stanęły pustką.

Obrachunek z korzyściami i stratami, jakie ci goście Warszawie przynieśli, byłby niezmiernie interesującym, a pytanie: „korzyść czy strata?” niełatwo przysłoby rozwiązać. Co do nas przynajmniej, nie jesteśmy wcale pewni, czy wpływy estetyczne z widowisk ogródkowych zrównoważyłyby wpływy... niemoralne. Niezawodną jest tylko rzeczą, że niezawsze powodzenie przypadało na dolę widowisk o wartości rzeczywistej i że jeżeli ogół ochotnie kupował bilety na przedstawienia ogródkowe, to nie zbywało i na takich, których tam sztuka najmniej pociągała. A było tak dlatego, że na onych widowiskach i to widzieć i słyszeć było można, co wzrok i słuch wprawdzie nęciło, ale jednocześnie zacięrało poczucie piękna i dobra.

Nie czynimy przecież ciężkiego zarzutu trupom ogródkowym z nadużywania sztuki i sceny, o ile one miały tylko na celu powodzenie za pośrednictwem choćby blahostek. Idzie tu o coś więcej: idzie o powodzenie zapomocą rzeczy podejrzanąj wartości moralnej, obliczonych na podrażnienie zmysłów. Ten i ów teatrzyk uciekał się do ekwilibrystyki, do sztuczek hecarskich i bardziej niż hecarskich, do widowisk wreszcie, w których słowa bywały leciutką tylko zasłoną myśli zbrudzonych i płaskich. Tego im ani pochwalić, ani przebaczyć się nie godzi. Rachunek z nimi wykazałby stanowczo przewagę złych i nieestetycznych wpływów, nad usiłowaniami godnymi sceny i artystów. Na szalę ich przypadłoby dużo śmiecia, któreby im stanowczo drogę do Warszawy zagrozić powinno, gdyby nie jedna ważna okoliczność. Chcemy mówić o szczęśliwych próbach pp. Terenokozego i Doroszyńskiego, które wykazały, że kierunek artystyczny, oparty na pracy zacnej, godnej sceny i sztuki, a wreszcie wytrwałość w postępowaniu drogą prostą, potrafią zjednywać publiczność liczną i wywalczyć sobie powodzenie. Jest-to przykład, który w przyszłości niezawodnie pociągnie i innych.

Inaczej... czyż można wahać się w wyborze i roztrząsać, czy korzyści opłaciły straty?... W delikatne omówienia i obwijanie w bawelnę bawić się tu nie godzi, i owszem, ostro należy wskazywać usterki i nadużycia scen ogródkowych, choćby tylko w nadziei, że przyszłość zmieni to na lepsze. Prasa nasza w ogólności przychylną zawsze okazywała się dla panów przedsiębiorców i osiągnęła to, co osiągnąć chciała, to jest ich powodzenie. Dzisiaj, gdy ono jest nadspodziewanie wielkiem, a niezawsze zasłużonem, należy też energicznie napominać tych, co chcą je spotęgować jeszcze bardziej, nie przebieirając w środkach.

Niedawnemi jeszcze czasy literatura nasza dramatyczna ograniczała się do kilku imion i kilkunastu sztuk, a wydawanie ich z druku należało do rzadkości. Disiaj żadna prawie oryginalna praca sceniczna nie ginie w zapomnieniu.

Jeden to więcej objaw rozrostu naszego piśmiennictwa, w dziale nadobnym potężniejszego istotnie. Dramaty i komedye, obok powieści, mnożą się coraz bardziej, i jeżeli idzie o ilość, to stosunkowo do sił jakie posiadamy, jest ona pocieszająca. Co do jakości, skarżyc się także nie możemy, chociaż słusznie ktoś zauważył, że naszemu piśmiennictwu dramatycznemu nie dostaje po większej części jednej potężnej dźwigni, a mianowicie... poezyi.

Cóż robić?... wszakże to dar Boży, owa iskra świętego ognia, która przetrwawia najobojętniejsze serca, a jeśli go nam poskąpiono na chwilę obecną, toż przynajmniej pracą dobijajmy się wyżyn sztuki.

Oto nowa komedya, w pięknym wydaniu, ukazała się na półkach księgarskich: „Dworacy niedoli“ pana Zygmunta Sarneckiego. Sztuka to rozmiarów poważnych, przedmiotem dotykająca bolesnej życia struny.

Ze zdaniem o niej wstrzymujemy się nateraz... zobaczycie ją niezadługo na scenie.

I znowu kilka uwag z powodu „Izraelity.“ „Kuryer warszawski“ odezwał się za potrzebą założenia tak zwanąj „sali licytacyjnej.“ w którejby ci, co potrzebują spieniężenia części swego dobytku ruchomego, znaleźć mogli zbyt, z jaknajmniejszą połączonej stratą.

Autor artykułu, dowodząc że potrzeba założenia takiej sali jest naglącą, dotknął też kwestyi wyzyskiwania przez handlarzy ulicznych, którzy na potrzebie i nędzy bliźniego przy kupnie sprzedawanych rzeczy niezłe robią interesa.

Uwaga ta zadrażniła „Izraelitę.“ Szanowne to ze wszech miar pismo poczuło się tedy do obowiązku wyświetlenia sprawy, i dowodząc że sala licytacyjna nie jest potrzebną, motywuje swoje zdanie w sposób dziwny... „Izraelita“ powiada, że i owi handlarze żyją w nędzy, że taki handelek, jakim się trudnią, jest jedynym dla nich środkiem bytu, i że jeżeli kupują tanio, to dlatego, że więcej się od nich nie żąda.

Przypuszczamy że w Warszawie jest kilka tysięcy takich ulicznych handlarzy, dla których handelek starzyzną jedyne stanowi rzemiosło. „Izraelita“ sam twierdzi, że jest ich bardzo wielu. Istotnie, z liczbą tak poważną rachować się trzeba i niegodziłoby się od jednego zamachu pozbawiać ich środków do życia. Na szczęście zaprowadzenie sali licytacyjnej takich złych skutków nie spowodzi. Korzyści z istnienia takiej sali nie od razu staną się aż tak widoczne, iżby ci wszyscy co chcą i potrzebują coś sprzedać, obywali się bez ulicznych handlarzy. Nasze społeczeństwo lubi zresztą nowości w modzie tylko i w tém, co do głębi życia nie sięga; przywykło ono do handlarzy i pomimo nastęrczających się ku temu środków, tak łatwo z nimi nie zerwie. Strachu tu więc niema.

Zdrugiej jednak strony czy dla dogodności kilku tysięcy ludzi, mogących zresztą wziąć się do innej, a pożyteczniejszej i produkcyjniejszej pracy, społeczeństwo może zaniedbywać to, co zapewnia korzyści większe, a idzie ręka w rękę z postępem?... Wszakże to za granicą sale licytacyjne są bardzo rozpowszechnione i funkcyjnują szczęśliwie, czemużby i u nas tak być nie mogło?...

Naszém też zdaniem „Izraelita“ nie ma tu słuszności, a nie ma jęj dlatego, że stawia zasadę niesprawiedliwą, która przecież płynie u niego ze szlachetnego uczucia, z miłości dla braci najbliższych.

Ach!... gdybyśmy to już raz mogli stać się dla siebie równo blizkimi... dla szczęścia nie chrześcian lub Żydów, ale... społeczeństwa całego!

Gdyby nasi rzemieślnicy chcieli zrozumieć, że zapomocą spółek i stowarzyszeń można dokonywać rzeczy, o których człowiekowi pojedynczemu ani zamarzyć, to nietylko iż chętnieby się do nich garnęli, ale zawiązywiliby coraz nowe.

Za dobry pod tym względem przykład posłużyć może spółka zjednoczonych stolarzy. Zachęcona rezultatami działania zbiorowego, zapragnąwszy przed laty pięciu rozszerzyć czynności spółkowe, założyła magazyn drzewa zjednoczonych rękodzielników warszawskich, którego celem jest zakup materiału tego dla uczestników. Uczestnikom swym magazynu o którym mowa materiał odprzedaje, lub też daje na spłatę, a przytém mają oni jeszcze zyski, któreby im zagarnęli kupcy lub pośrednicy, bo zakupują towar z piérwszej ręki i bez niczyjzego pośrednictwa.

Każdy uczestnik, przystępujący do stowarzyszenia, wkłada rs. 50, jednorazowo lub w ratach, a ostatnia ta okoliczność pozwala nawet mniej za możnym majstrom do spółki przystąpić. Z takich wkładek, niestety, niedość dotychczas licznych, jak również z zysków, kapitał stowarzyszenia urosł do wysokości rs. 5299 kop. 3. Prócz tego stowarzyszenie posiada funduszu rezerwowego rs. 860 kop. 25¹/₂, która to suma powstała z opłat wpisowych i z pewnej części zysków, ustawa na ten cel przeznaczonych. Siły to jeszcze drobne, ale wzrastają stopniowo z rokiem każdym, a im bardziej wzrastają, tém silniej też utrwalają byt stowarzyszenia i zapewniają mu coraz obfitsze korzyści. Spółka, widząc w tém konieczność, a zarazem i korzyść, nabyła na własność plac w alei Jerolimskiej, zaciągnąwszy w tym celu pożyczkę w gronie uczestników. W budowlach i ruchomościach posiada dziś majątku rs. 2,475 kop. 13.

Że działalność spółki dla stowarzyszonych jest korzystną, dowodzą tego następujące cyfry. W r. 1875/6 zakupiono materiałów za rs. 26,891 kop. 62, sprzedano za rs. 22,144 kop. 74¹/₂, zyski na sprzedaży wyniosły rs. 5,380 kop. 32¹/₂, ogół masy czynnej rs. 30,745 kop. 58¹/₂.

Tak to, z małemi środkami w rękę, gdy się je połączy i do wspólnego skieruje celu, wcale niemałych można dokonywać rzeczy. Przykład-to bardzo zachęcający, i oby rzemieślnicy nasi korzystać z niego chcieli!

Od lat kilku istnieje także w Warszawie spółka do zakupu skór; szczegółów jednak, odnoszących się do jęj istnienia, nie znamy, bo ich publicznie nie ujawnia. A szkoda! Dobrze jest uczyć innych własnym doświadczeniem, i jakkolwiek spółki są instytucjami w sobie zamkniętymi i mają obowiązek rachowania się tylko swym uczestnikom — ze względu przecież, że sprawozdania szczegółowe mogą być wzorem i przykładem dla społeczeństwa, niepojmującego jeszcze dostatecznie natury i siły działania zbiorowego, dobrzeby uczyniły, podając je do powszechnej wiadomości.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Poznań, w końcu września.

Znajduję w pismach naszych ciekawe cyfry, dotyczące podatków od gorzeln i wogóle stosunków handlu okowitą, który się tak szeroko w ostatnich u nas rozwinął latach. Ponieważ kwestya ta i u was jest na porządku dziennym, sądzę że nikogo nie znudzę niemal dosłownem powtórzeniem uwag i zestawień liczbowych w tój mierze. W 1872 r. liczone w państwie pruskiem 7051 gorzeln, z których przypadało na nasze księstwo 337. W tymże roku przepalono w całych Prusach zboża 3,672,929 centn., ziemniaków zaś 17,837,560 centn. Jednocześnie w wielkiem księstwie poznańskiem przepalono zboża 542,155 cent., a ziemniaków 2,916,657 cent. Oplacono zaś z tego podatku:

w całym państwie. 14,711,923 tal.
w w. k. poznańskiem 1,663,390 tal.

Podczas więc gdy księstwo nasze, co do liczby mieszkanców, w stosunku do monarchii pruskiej zaledwie 7 procent reprezentuje, przedstawia ono, względnie do oplacanego podatku gorzellanego, 11¹/₃ procent, co do przepalanego zboża 14²/₃ procent, a co do przepalanych ziemniaków aż przeszło 16¹/₂ procent, czyli około 1/6 całej monarchii. Liczby te dowodzą najwymowniej potężnego rozwoju przemysłu gorzellanego u nas, przyczém pamiętać trzeba, iż po szczęśliwych kampaniach okowicianych z 1872 i 73 r. gorzelnie u nas przynajmniej o jakie 15 procent się pomnożyły.

Obniżenie cen okowity w ostatnich dwóch latach rozczarowało nieco właścicieli gorzeln, a brak kapitału obecnie nie pozwala na zakładanie ich w kraju. Przed dwoma laty panowała w tym względzie prawdziwa gorączka: jak tonący brzytwej się chwytła, tak zniechęceni zawodami rolniczemi gospodarze sądzili że odbiją swe straty na gorzelniach. Liczba jednak gorzeln nie pod-

niosła wcale materialnego dobrobytu w księztwie, owszem, przychodzi nam patrzeć dziś na owoce krachów bankowych i chybionych spekulacji, które przed kilkoma laty ciężki cios zadały finansowemu położeniu prowincyi. Niema dnia, aby który nowy majątek nie był na subhastę wystawiony, oprócz sprzedaży z wolnej ręki, do których niemal wszyscy aż nadto okazują gotowości. Pesymistycznie może zapatruję się na rzeczy, ale szczerzy ból którego się doznaje, patrząc jak się ziemia z pod nóg naszych zewsząd usuwa, może zaiste jasność poglądu zamącić i do smutnych konkluzyj doprowadzić.

Wracając jeszcze do przedmiotu który nas na początku tego listu zajmował, dodajemy że podatek gorzelany płaci się dotychczas w Prusach od zacięru. Ujemną stroną tego systemu jest jego nadzwyczajna drogość, skutkiem licznego bardzo zastępu utrzymywanych celników. Dział urzędniczy pochłania blisko trzecią część całego podatku; niedziw tedy iż oddawna łamano sobie głowę nad zaprowadzeniem kontroli wprost na okowitę. Zrazu wynaleziono rodzaj zegaru kontrolnego, funkcyjującego na wzór gazometru, który atoli okazał się niedokładnym. Ostatnie jednak wynalazki potrafiły aparaty kontrolujące do takiej doskonałości doprowadzić, iż wprowadzeniu ich nie już nie stoi na przeszkodzie.

Z jesienią pojawiają się wszędzie ściśle obrachunki, zjazdy doroczne, walne zebrania przetrzonych stowarzyszeń i spółek. Z przyjemnością przyszło nam wyczytać, iż bank Potocki, Kwilecki i Spółka, mimo złych czasów i zastoju finansowego, miał obrotu 16,000,000 marek w ciągu ubiegłego roku i obiecuje dać dywidendy 6%.

Walne zebranie spółki wzajemnej pomocy „Ula“, także wykazało czynność tej instytucyi niemałą. Wogóle podziwiać należy skrzętność i zachody pracowników, którzy nie dając się zniechęcić trudnościami obecnej chwili i ciężkimi czasami, trwają na obranym stanowisku, a siłą woli i pracy zwyciężają niepomyślne warunki i okoliczności.

Ponieważ, chociaż pisuję z Poznania, chętnie wam zawsze przesyłam wiadomości z całej prowincyi, niepodobna mi pominąć milezieniem pięknej uroczystości, odbytej świeżo w Kościanie, miasteczku powiatowem, położonem na linii kolei żelaznej wrocławsko-poznańskiej. Kościan jest jedną z miejscowości, posiadających w stronach naszych wybitną kartkę dziejową. Miasto założone zostało już w 1140 r. przez Sobiesława księcia czeskiego. Zamek tutejszy sięga czasów przed Kazimierzem Wielkim. W Kościanie była aż do XVI wieku komandorya kawalerów maltańskich. W XV wieku służyło miasto z fabryk sukiennych. Kazimierz Jagiellończyk nadał mu w r. 1472 na sejmie piotrkowskim za herb wieżę z orłem białym i literą C. Pieczęcią z tym herbem odznaczały się odtąd wyroby sukienne kościańskie. Za tegoż panowania Kościan był starostwem grodowem i drugim co do wielkości miastem w Wielkiej Polsce po Poznaniu. W 1665 r., gdy Szwedzi opanowali miasto, Żegocki starosta babimostski zdobył je napowrót, przyczem zginął landgraf heski, szwagier Karola Gustawa. Mszcząc się śmierci landgraфа, Szwedzi splądrowali miasto i spalili. W 1704 roku fortyfikacje znowu przez Szwedów zostały zburzone. Podobny los spotkał miasto Kościan i w czasie konfederacyi barskiej. Otóż w tém starém mieście Kościanie odbyła się w dniu 20 września b. r. uroczystość jubileuszowa, z powodu trzechsetletniej rocznicy istnienia bractwa kurkowego. Rozpoczęto dzień nabożeństwem, poczem odczytano przed ratuszem, wobec licznie zgromadzonej publiczności, kronikę bractwa kurkowego. Dowiedzieliśmy się z niej iż Stefan Batory w 1576, na zgromadzeniu stanów rozplitęj w Toruniu, bractwo kurkowe kościańskie potwierdził i nadał mu przywilej, mocą którego każdorazowy król kurkowy wolnym miał być od wszelkich podatków komunalnych i państwowych. Przywilej ten zatwierdzali z kolei Zygmunt III, Michał Korybut, Jan Sobieski, August II i Stanisław August, oraz prusey królowie Wilhelm III i Wilhelm IV.

I Gustaw Adolf, w czasie najazdu swego na Polskę, wszystkie przywileje bractwa kurkowego zatwierdził, tudzież obdarzył je srebrnym medalem i łańcuchem.

W dniu owym 20 września całe miasto przybrało postać świąteczną; strzelanie do celu, wspólna wieczerza i bal z kolei po sobie nastąpiły, a wesoła zabawa przeciagnęła się późno w noc, przerywając choć przelotnie zwykłą jednostajność życia małomiejskiego. Pamięć króla Stefana obecną była sercom zgromadzonych, a wszyscy z tego uroczystego obchodu jaknajmilsze odnieśli wrażenie.

Wydawnictwo *Kodeksu wielkopolskiego* złotwim postępuje krokiem, z powodu napływu dokumentów, który opóźnia ostateczne wykończenie tak monumentalnego dzieła. Słyszymy teraz o nowym a bardzo cennym nabytku, który w ostatnich dniach zubożył rzeczony wydawnictwo. Jest to dokument z XII wieku, bulla oryginalna papieża Aleksandra III z r. 1179, w której papież ten potwierdza klasztorowi benedyktynów w Mogilnie wszystkie posiadłości i bierze go pod opiekę Ś-go Piotra. Klasztor ów założony był w 1065 przez Bolesława Śmiałego, wracającego z wyprawy węgierskiej. Tego jednak Bolesławowego kościoła i klasztoru śladu już niema. Dzisiejsze są dziełem XVII wieku. Dokument nowoodnaleziony niemałej jest ceny; to też wszystkie pisma nasze szeroko się o nim rozpisowały.

Każde miasto posiadać zwykło kilka postaci oryginalnych, z niem związanych, które przez lat wiele snując się po ulicach, należą poniekąd do zewnętrznej jego fizjonomii. Taką postacią i takim oryginałem był u nas od lat blisko dwudziestu zmarły świeżo margrabia de Fontelive Vergne Ktokolwiek do Poznania zajechał, zawsze spotkać się musiał z uderzającym obliczem nieszcześliwego Francuza, o powierzechowości przypominającej rycerza z Manszy. Postawa jego nosiła tak wybitne cechy oryginalności, że każdy ciekawie pytał kto zacz on i co tu na obczyźnie porabia. Powoli wszyscy się z nim oswoili, poznali go, a smutne spojrzenia, które rzucał na znajomych, skłoniły niejednego do uczestowania go hojnie, chociaż się pozornie od każdego zaproszenia wymawiał. Po śmierci jego, która nastąpiła w początkach b. m., dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów o jego życiu. Przed laty, poznawszy w Tours naszą rodaczkę, Różę hrabiankę Potocką, ożenił się z nią i przybył zamieszkać w Galicyi, w majątku żony pod Tarnowem. Wypadki z 1846 r. zmusiły go do opuszczenia Galicyi, i odtąd stale zamieszkał w Poznaniu. Utrzymywał się z lekcji języka francuzkiego i rozprzedaży swych poematów w mowie ojczystej, które rozsyłał po całym księztwie, ściągając przez zaliczkę pocztową ich cenę. Plody te jego muzy nie mają najmniejszej wartości, a nieraz przechodzą w granice śmieszności. Syn biednego Francuza jest profesorem w Gdańsku, córka zaś, dziwną losów kolejną, nosi tytuł baronowej von Pernstein, jako morgandytka małżonka księcia Ottona Thurn-Taxis. Tyle o typowej postaci Fontelive'a, zrosłej poniekąd z murami naszego miasta.

W przyszłym liście spodziewam się przelać wam obfity plon wiadomości literackich, których mi na dziś zbrakło. Nadchodząca już zima zwykle pomyślniejszą bywa porą dla kronikarza; miasto nowem się życiem napelnia i dosyć ucha nadstawia, aby w mgnieniu oka zgromadzić wystarczający na korespondencyą materiał.

Przegląd polityki zagranicznej.

6 października.

Położenie polityczne nie wyjaśniło się wcale w ostatnich kilku dniach; można nawet powiedzieć, że stało się nieskończenie groźniejszym. Ostatnie telegramy z Konstantynopola z d. 2 i 3 b. m. niemał się przyczyniły do wzmocnienia obaw, twierdzą bowiem że odpowiedź Porty na noty mocarstw nie jest zadowalającą. Rząd turecki miał w tych dniach przelać mocarstwom swój program reform, w pięciu artykułach zawarty, a program ten

nie zgadza się z treścią propozycyji dyplomatycznych. Jeżeli te wiadomości istotnie z urzędowych płyną źródła, jeżeli Porta w samej rzeczy bawi się w dwuznaczniki, to nie ulega wątpliwości, że mocarstwa zmuszone będą bez jej woli załatwić całą sprawę. Nastąpiłaby więc interwencya, czy też egzekucya zbrojna, o której od dni kilku coraz częściej odzywa się prasa. Pogłoski te oparte są na przypuszczalnej treści listu pisanego przez N. Cesarza Aleksandra do cesarza Franciszka Józefa. List wysłany był do Wiednia i wręczony przez generała Sumarokowa, a chociaż treść w jaknajściślejszej trzymano tajemnicy, dzienniki wiedeńskie udają że wiedzą o co chodzi. Utrzymują jakoby Rossya proponować miała wspólną interwencyą rossyjsko-austryacką i jakoby Austro-Węgry zgadzały się na nią, pod warunkiem że egzekucya nakazana będzie z woli wszystkich mocarstw.

W rzeczy samej, czy rząd turecki może dać rekojmię, że reformy dokonane zostaną w podwładnych mu krajach słowiańskich? Historia ostatnich powstania Bośni i Hercegowiny, a nade wszystko okrucieństwa jakich się Turcy dopuścili w Bulgaryi, aż nadto przekonywają, że żywił mahometański niezdolnym jest do rządów. Mówiliśmy już to nieraz i powtarzamy dziś jeszcze, że nie można pozostawić chrześcian na łasce Turków i że tylko kontrola mocarstw zapewnić im może polepszenie doli. Mając wszeiako na uwadze, że zbrojne zajęcie krajów turecko-słowiańskich nie mogłoby przecie trwać wiecznie, czyż nielepiej byłoby utworzyć zaraz księztwa lenne, płacące Turcy haracz, lecz niezawisłe od niej, na wzór Serbii, zwłaszcza że przeciwko takiej formie i Austro-Węgry nie miałyby nic do nadmienienia?

Na placu boju, pomimo dwukrotnego starcia, ani Serbowie ani Turcy nie mogą się poszczycić stanowczym zwycięstwem lub przewagą. W d. 27 z. m. Serbowie byli górą, w d. 29 Turcy, a ostatecznie obie strony pozostały na swych stanowiskach. Niektóre dzienniki szeroko komentują plan operacyjny serbski; są to jednakże gołosłowne przypuszczenia, ku zabawie czytelników czynione. Prawdą jest to tylko, że starcie było krwawe i że z obu stron wleńaliczono ofiar. Ostatnia utarczka zaszła w d. 16 b. m. pod Bobowiszczem i Tesznicą. Na pierwszą z tych miejscowości uderzyli Turcy, na drugą Serbowie, pod dowództwem pułkownika Jovana Popowicza. Telegram z Zemlina dodaje, że rezultat walki jeszcze był niewiadomym. Czarnogórze powstrzymało się od dalszej walki z Turkami, nie krępując się wszakże zawarciem jakiegobądź rozejmu z nimi. W kołach słowiańskich, według telegramu z Dubrownika z d. 4 b. m., podejrzują ks. czarnogórskiego o zdradę sprawy narodowej.

Odebrane w ostatniej chwili depesze zapewniają, że wkrótce rozpoczną się układy mocarstw w przedmiocie zebrania konferencyi. Mocarstwa wywierają nacisk na Stambuł i Belgrad, aby skłonić obie strony do zaprzestania walki. Tak utrzymują telegramy paryzkie, opierając się na rozmowie ks. Orłowa z Mac-Mahonem, Decazes'em i Thiers'em.

OSTATNIE TELEGRAMY. *Konstantynopol*, 3 października. Na wielkiej radzie przyjęto wczoraj jednomyślnie projekt utworzenia rady narodowej ze 120 członków, celem przeprowadzenia reform.

Dubrownik, 4 października. Powstańcy w Bośni, pod wodzą Despotowicza, pobili 4 bataliony tureckie i spalili 300 (?) domów tureckich. Turków poległo 105, a powstańców 11, raniono 4, przyczem zdobyto chorągiew turecką, broń, konie i amunicyą.

Wiedeń, 3 października. Wszystkie dzienniki utrzymują, że Porta odrzuciła warunki pokoju, tłumacząc się wzburzeniem umysłów, a zwłaszcza ulemów w Konstantynopolu. Mocarstwa przelać mają Porcie notę zbiorową.

(Ind. Bel.Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

Na kamień grobowy dla ś. p. *Romana Zmorzkiego* otrzymaliśmy od p. Adama Chmary z Mińska gubernialnego rs. 1 kop. 15.

Kopia obrazu Maksymiliana Gieryskiego.



Łąka leśna.

Rysunki E. M. Andriolli'ego.



Pod kościołem.

SZEWCIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— I z kaparami...—dodał garson.
 — Na drugie więc danie szterlet... a do szterleta?..
 — Burgund z roku czterdziestego piątego.
 — Dobrze... a dalej?..
 — Czomber sarni szpikowany... albo szatobriandzik.
 — Niech będzie raczej szatobriandzik, byle kruchy i pulchny.
 — W ustach się rozplywa.
 — A dalej?..
 — Jarzynka jakaś: karczochy z podlęwą, szparagi z sosem winnym...
 — Szparagi... potem zaś... dasz mi... sam nie wiem co wybrać: bekasa czy bażanta?... El... — zdecydował się—niech będzie bażant... Następnie owoce, deser i włoż butelkę szampańskiego w lód... Ale zatrzymaj się chwilę z tém wszystkiém, przyjdzie tu mój syn... Szampańskie jednak zamróż zawczasu; nie lubię ciepłego, sprawiającego w ustach wrażenie dekoktu.
 Podczas konferencyi powyższej ojcu Frania policzki drgały. Brwi miał schmurzone i gniewnie zjadał sér szwajcarski, który popijał piwem. Ojciec Tadzia rozmowę jakąś chciał zawiązać, lecz zastąpić ją musiał pożegnaniem, do którego dołączył pytanie:
 — Pan dobrodziej i córeczkę zapewne, jak zwykle, na wieś na czas wakacyj zabiera?...
 — Tym razem nie...—była odpowiedź—dzięki Franiowi, który się w naukach zaniedbał... Chcę oszczędzić mu dystrakcyi, jakaby obecność siostry sprawiła... Pan Franciszek w czasie wakacyj będzie pracował.
 — Pięknie.. hm... chwalebnie...—odrzekł jegomość poważnie.—Krzyżuje to trochę plany mego Tadzia, który układał sobie najazd na dom pana dobrodzieja...
 Na to odpowiedzi nie było żadnej i w chwilę później Kaźmirz nasz krokiem zdwojonym podążył do mieszkania swego. Przyszedszy, zastał wszystko w porządku zwyczajnym; na podwórzu rozlegało się stukanie młotków. Udał się do warstata. Marcin kuł, na koziołku okrakiem siedząc, Jędrak miech nadymał, Józef z kleszczami w ręku stał przy piecu. Na wejście Kaźmirza, wszyscy na niego oczy zwrócili.
 — No... więc cóż?... — zapytał Józef — po wszystkiém już?..
 — Wybiierać się muszę corychłój...—była odpowiedź młodzieńca.
 — A dokąd?
 — Nie wiem... Jadę dziś, pociągiem wieczornym, może się dowiem na dworcu...
 — To mi się podoba! — wyrzekł Józef z wykrzyknikowym naciskiem.—Pakuj-że się... ale pomódz ci trzeba... Poczekaj trochę.
 Wydobył kleszczami z ogniska żelaza kawalek, do czerwoności rozpalony, położył go na kowadle, uderzył wąż młotem razy kilkanaście, przewracając na płask i bokiem, nadał mu formę podłużną, w kąt cisnął, na Jędrka skinął, ażeby dęcia miechem zaprzestał i rzuciwszy słów kilka Marciniowi co do roboty dalszej, udał się z bratem do izby.
 — Jedziesz więc?... Na jakich-że warunkach?..
 Kaźmirz powtórzył propozycyę, jaką mu ojciec Frania uczynił.
 — Ho!...—rzekł Józef, ramionami ruszając.—Zapowiada się to niby dobrze... Zobaczymy jak będzie dalej... Daj Boże, żeby jaknajlepiej było... Z panami jednak na baczności mieć się trzeba, a żeby, broń Boże, na manowce nie zejść.
 — Zależy to trochę odemnie — odrzekł Kaźmirz.
 — Nie trochę, ale całkowicie... „Jak sobie poczucielesz, tak się wypisz”... Ot co jest... Ale, my-

ślę... jak ty się spakujesz?... Co ty z sobą weźmiesz?

— Książki...
 — Hm... Gdyby nie te książki...
 Kaźmirz pytając spojrział bratu w oczy.
 — Dałbym ci walizkę Marcina — ciągnął Józef—i zabrałbyś się sakum pakum; na książki zaś trzebaby jakiej skrzynki.
 — A ta-ż?...—odparł Kaźmirz, ukazując palcem na kuferek drewniany, pod ścianą stojący.
 — Nie... to nie uchodzi... — A pomyślawszy przez chwilę, dodał:—Poczekaj trochę; składaj sobie rzeczy tymczasem, a ja zaraz powrócę.
 Za czapkę pochwyił i jak był w fartuchu, tak na ulicę wyskoczył. Po upływie półgodziny niespełna był z powrotem, niosąc na ramieniu walizę obszerną, skórą obitą, w zamek porządny i w pasy zaopatrzoną.
 — Oto skrzynka.
 — Kupiłeś?...—zapytał Kaźmirz.
 — Ta... darmo niktby mi jęj nie dał.
 — Mnie jednak dajesz darmo, Józefie... a ja od ciebie bogatszy.
 — Bogatszy?... — rzekł Józef, tonem drwiny żartobliwej.—Jaki-mi pyszny!... Nie chwal-no się ty, bogactwo twoje bowiem przydatniejsze dla drugich, niż dla ciebie... No... pakuj się prędko!
 Kaźmirz walizę otworzył i znalazł w niej bielizny nowęj trochę, odzież letnią, kapelusz, trzewiki, mydelko do rąk, grzebyk, szczoteczkę i rękawiczki.
 — Józefie!... Józefie!...—zawołał.
 — Nic nie gadaj, jeno składaj... Co tam połóżysz na spód?... Myślę że na spód książki, a na wierzch bieliznę i odzież.
 Postawił walizę na stolikach i bracia we dwóch wzięli się do składania, które też nie zabawiło ich długo.
 — No, teraz ogarnij się ty...—rzekł Józef.—Według tego, coś mi o pryncypale swoim powiedział, miarkuję że wymagać będzie ochędóstwa i porządku, potrzebnych i dla ciebie i dla oka ludzkiego... Czy wszystko na tobie całe i czyste?... Niech będzie ubogo, byle chędogo...
 Przegląd szczegółowy dał rezultaty zadowalające.
 — Pan—prawił Józef—żeby jak wielki, niech ci strachu do nosa nie napędza... Cóż-to jest pan?... człowiek taki jak ty... Bądź więc sobą, starając się jeno o to, ażeby ci nie do zarzucenia nie było pod względem czystości, uczciwości i śmiałości... Co się zaś znajdowania tyczy, uważaj, patrzaj jak i co robią inni, ale nie naśluduj jak tylko to, co godności twojej nie obraża... Ja nie bywałem na pokojach pańskich, to ci rady co do kłaniania się i komplementowania dać nie potrafię. Zresztą... zobaczysz... Ho!... gdyby to Orchowski był!
 Kaźmirzowi, który, dając lekye, po rozmaitych bywał domach, zwyczajnie w lepszym przyjęte towarzystwie obcemi nie były. Znał je zdaleka, że się tak wyrażymy, i zastosowywał się do nich w części, obcując z kolegami, pochodzącymi ze sfer towarzyskich różnych. Znane mu były prawidła przyzwoitości wogóle. Nauki więc braterskie przyjmował nie jako nauki, lecz jako dowód troskliwości i życzliwości, składany w formie, na jaką Józef zdobyć się umiał.
 O zmróku bohater nasz całkowicie do podróży był gotów. Do chwili w której pociąg odchodził, pozostawało jeszcze godzin dwie bezmała.
 — Wypadałoby coś przekąsić... — zauważył Józef.
 Posłał Jędrka po kielbaski, sér i piwo; chleb był w domu; zaprosił Marcina i zasiedli do posiłku wieczornego, po załatwieniu się z którym, żeby się broń Boże na pociąg nie spóźnić, wyruszyli na dworzec kolei żelaznej. Józef i Marcin nieśli walizę, ciężką z powodu książek. Nadaremnie Kaźmirz chciał ręki przyłożyć; ani mówić sobie o tém nie pozwolili. Mieniali się jeno na ręce i dźwigali ciężar, śpiesząc co sił, z obawy spóźnienia się. Obawa ich jednak płonna była. Przyszli na dworzec na półgodziny wcześniej, zajęli miejsce w sali, dla podróżników klasy trzeciej przeznaczonej, i czekali na sprzedaż biletów.

Na hasło dane Józef się zerwał.

— Ba!...—zawołał. — Do jakiej-że stacyi brać bilet?... Idź-no, Kaziu, ty sam, i czatuj na pryncypala swego, którego zapytaj jeno o stacyę.
 Kaźmirz wyszedł, powrócił, znów wyszedł, i, powróciwszy po raz wtóry, przyniósł bilet już kupiony.
 — No?...—zapytał Józef.
 — Kupił bilet i wręczył mi go.
 — Mówił co?
 — Były z nim pani i jakaś panienka, córeczka snadź jego. Powiedział tylko: oddaj pan rzeczy.
 — A no, potrzeba więc walizę do magazynu zanieść. Marcinię!
 Marcin pochwyił za jedno ucho, Józef za drugie; Kaźmirz za nimi z biletem poszedł; bilet opiewał na klasę drugą, z oznaczeniem stacyi, którą gdy Józef przeczytał, głową wstrząsnął i przez nos się odezwał:
 — Hm...
 Kaźmirz nie zważał na to. Wkrótce potem podróźni wychodząc poczeli na pociągową podsięń. Józef bratu towarzyszył. Kaźmirz zoczył Frania przy jednym z wagonów drugiej klasy; przy nim były dama i panienka. Franio zoczył także Kaźmirza i zawołał:
 — Proszę pana! siadajmy!.. ojciec wnet przyjdzie.
 — Trzymaj się z nimi razem—szepnął Józef bratu.
 Uściskali się. Dama i panienka przypatrywały się uważnie bohaterowi naszemu, podczas gdy się on w objęciach Józefa znajdował, lecz odwróciły od niego oczy, gdy się do nich całą zwrócił twarzą.
 — Proszę—powiadał Franio, pokazując ręką otwarte drzwi wagonu.
 Kaźmirz wsiadł. Józef stanął nieco opodal, z oczami w okno pojazdu zwróconemi. W oczach kotlarza malował się żal, który je wilgocią powlekał i do częstego mrugania zmuszał. Niebawem pojawił się jegomość, bohatera naszego pryncypał. Podał dłoń damie starszej, wziął w objęcia panienkę złotowłosą i w usteczka ją pocałował, obejrzał się dokoła i ujrawszy Józefa:
 — A...—zawołał i rękę do niego wyciągnął, dodając:—Odprowadzasz kogo?
 — A tak... hm...—odparł Józef, zdziwiony, uradowany i jakby nieco zmieszany.
 Wtém odgłos świstawki się rozległ. Jegomość do wagonu wskoczył. Konduktor drzwiczki zatrzasnął. Świst się powtórzył. Pociąg ruszył, unosząc siedzących rzędem jegomością, Frania i bohatera naszego.
 — Widzisz—rzekł piérwszy z nich, zwracając mowę do syna—wyrządziłeś przykrość Helci, mnie i sobie. Oto masz przykład dotykalny stanowiska człowieka w świecie. Wolność osobista jest prawem człowieka naturalném, lecz nadużywanie prawa tego dotyka innych i zwraca się wkońca następstwami smutnemi na nadużywającego. Tą drogą chodzi Nemezys dziejowa, Nemezys społeczna, ekonomiczna, towarzyska, koleżeńska, szkolna i t. d. Wolno ci było do nauk się nie przykładac, lecz wolności tej następstwa spadły na siostrę, na matkę, na pannę Teofilę, na dziadostwo twoich, na mnie i na ciebie samego. Należy pamiętać, że się nie jest samym na świecie; niepamiętanie o tém nazywa się egoizmem, a egoizm jest przywarą bardzo smutną i zarazem ze wszystkich najgłępszą. Weź-że to sobie na uwagę.
 Kto jeździł koleją żelazną—a któż nią nie jeździł—ten wie, że mówienie, w czasie gdy pociąg idzie, wymaga pewnego wysiłku. Ojciec Frania zmógł się i zamilkł. Franio nie ojcu nie odpowiadał, rozmyślając zapewne nad tém, co z ust jego slyszak. W ten sposób rozmowa przerwała się. Pociąg, pod wieczorne niebo kłęby dymu ciskając, mknął po szynach, zatrzymał się razy kilka, aż w nocy już przybył na stacyę, na której podróźni nasi wysiedli. Zabrano bagaże. Tragarz stęknął pod walizą Kaźmirza, co zwróciło chwilową na bohatera naszego uwagę, tak iż ten poczuł się do obowiązku usprawiedliwienia ciężaru i rzekł:

— Książki...

— Uwiązać to mocno, żeby się nie oderwało — przemówił ojciec Frania do ludzi, układających tłomoki na bryczkę na resorach, którą podróżni jechać mieli dalej.

Upakowano bryczkę — pojechali.

Osobliwość wędrowki tej polegała na tem, że Kaźmirz nie wiedział dokąd jedzie. Za rękojmiej jedyną służył mu dyrektor szkoły, który go przedstawił i polecił; zresztą nie posiadał żadnej innej, z wyjątkiem sympatycznego tonu, bijącego od powierzchowności i brzmiącego w głosie jegomości. Zdobyłby był rękojmiej jeszcze jedną, gdyby był widział uścisk dłoni, jaki, w chwili wsiańdania do wagonu, pryncypał jego zamienił z Józefem. Ale tego nie widział. Przeszkadzała mu drobna okoliczność. W chwili tej wpatrzył się był w oblicze dziewczęcia, oblicze jasne, niby gwiazdka na niebie, oświetlone parą szafirowych ocząt, ocienione parą długich rzęs i owiane urokiem tej zagadki, co zawiera się w kwiatku zawiniętym w pączku. Jasne warkocze, pogodne czoło, szafirowe oczy, ciemne rzęsy, koralowe usteczka, oto istota zagadki, w którą się bohater nasz wpatrzył, a wpatrzywszy, przesłepił to, coby mu było pokazało, że pryncypał i brat jego znają się ze sobą i stosunek pomiędzy nimi zachodzi dobry, kiedy sobie dłonie podali.

Powóz się toczył, unoszony dobrym klusem parry koni. Na niebie mrugały gwiazdki i przesuwały się obłoki. Ziemię osłaniała opona czarna, przez którą przebijały się rozłogi zbożem okryte, łąki, gaiki, wzgórze, figury nad droga sterczące, karczmy i karczemki. Przejeżdżano przez wsi kilka i za każdym razem, gdy się powóz do której z nich wtaczał, Kaźmirz powiadał sobie:

— To zapewne tu.

Aż w końcu zgadł. Powóz w wsi jednej wjechał w aleję drzewami wysadzaną, na końcu której była brama, a za bramą podwórze, i zatrzymał się przed domem okazale wyglądającym ganek z kolumnami, okna duże, fronton w zęby; z tyłu ciemniał ogród, niby park, po bokach wznosiły się zabudowania, na środku zaś podwórza widzieć się dawała gąszcz jakaś, wyglądająca nakształt bukietu. Na ganku błysnęło światło, wydobywające się przez drzwi, które się otworzyły w chwilę po zatrzymaniu się pojazdu. Podróżni wysiedli, weszli na ganek, a z ganku do przedsiieni obszerniej, w której powitał ich służący ze świecą w ręku, zamieniając pozdrowienie z panem, kłaniając się Kaźmirzowi i ściskając ręce Franiowi.

— O, Franio nie popisał się!... — odezwał się pan.

— Czy to być może! — zawołał służący.

— Ledwo nie ledwo przelazł do klasy wyższej i dlatego wezwać musiałem pomocy (tu na bohatera naszego ręką ukazał) pana Kaźmirza Odrebskiego, ażeby z nim popracował przez wakacje.

— O! trzeba się jednak spodziewać, że się to naprawi — były słowa służącego.

— Spodziewam się tego i ja — odparł pan. Prowadźcie nas jednak, Tomaszu, do stołu nakrytego. Głodni jesteśmy, a pani Tomaszowa zapewne pamiętała o nas.

Tomasz poszedł przodem ze świecą i przeszedłszy przez pokojów parę, które się Kaźmirzowi wydały z przepychem urządzone, zatrzymał się w sali jadalnej, w której, pod jednym z okien, stał stolik, zastawiony na dwie osoby. Tomasz wnet przyniósł nakrycie trzecie i w chwilę później pojawiła się waza, zawierająca w sobie krupnik z krup perłowych, zgotowany na mięsie wołowym. Każdemu dostał się talerz krupniku i kawalek spory mięsa, a do mięsa ogórki kwaszone. Do picia stały na stole karafki z wodą i piwem; zastawa składała się z porcelany, szkła rznętego i serwisu z imitacji; obrus i serwety tak wyglądały, jakby z krajowej pochodziły fabryki, świeciły jednak białością śnieżystą. Po krupniku nastąpiły dwa dania razem: potrawka z drobiu i kartofle smażone, które się jadły na jednym talerzu. Na tem był koniec. Kaźmirz wstał od stołu niegłodny.

— Która to godzina? — zapytał pan i sam sobie odpowiedział, na zegar w kącie stojący

okiem rzuciwszy. — Wpół do jedenastej... późno.

Zwracając się następnie do Kaźmirza, dodał: — Życie tak tu pędzimy: wstajemy o szóstej, o siódmej śniadanie, o dwunastej obiad, między czwartą a piątą podwieczorek, o ósmej wieczera, a o dziesiątej spać idziemy. Musisz się, panie Kaźmirzu, stosować do nas i, zdaje mi się, co do zajęć naukowych, wypada ułożyć program tak, ażeby poświęcić im przed południem godzin dwie i pół, od dziewiątej na przykład do wpół do dwunastej, i po południu godzin dwie, od drugiej do czwartej, z przestankami kilkominutowymi co godzina. Dzień jutrzejszy niech pójdzie na ułożenie programu. Bez programu jak życie, tak i nauka wartość wszelką traci. Teraz zaś chyba się na spoczynek już udamy... co?

Kaźmirz nie miał przeciwko temu nic. Franiowi oczy się klęły. Nie pozostawało więc nic innego, jak sprawy wszelkie odkładając do jutra, szukać we śnie pokrzepienia sił, nadwątłych nieco jazdą kilkogodzinną. Bohatera naszego odprawiał Tomasz do pokoju, w którym znalazł łóżko posłane, wodę do picia i mycia się przygotowaną i walizę swoją pod ścianą na koziołku postawioną. Umeblowanie pokoju tego składało się, okrom łóżka, z kanapki, dwóch stolików, stoliczka nocnego, krzesel kilku, szafki z kluczem w drzwiach i komody z szufladami próżnymi, wpół powysuwanymi. Tomasz, stawiając świecę na stole, rzekł, ręką kolejno pokazując:

— Ta szafka i ta komoda na użytek pański. Dobranoc!

I odszedł.

Kaźmirz, sam pozostawszy, na kanapę się rzucił.

— Gdzie ja jestem? — zapytał sam siebie, dłonią po czole przesuwał. — Rzecz osobliwa. Ten pan? Józef do panów zraził mnie trochę, zrobił jednak wyjątek dla jednego i oto, zdaje się, ten jest drugim takim, jakiego on ideał w duszy piastuje. Tak, albo może ja się myślę, może mnie pozory ludzka... Wszelako porównanie jego z tym, co w hotelu śniadanie dysponował, stawia mi w oczach dwa kontrasty: ojca Tadzia i ojca Frania. I tamto pan i to pan. Nie, chyba się Józef myli, tacy jak jego Orchowski nie muszą być tak rzadkami, jak jemu się zdaje.

Snując w głowie myśli tego rodzaju, rozbiierać się zaczął. Po chwili znalazł się w łóżku wygodnym i czystym, w otoczeniu ciszy wiejskiej. Sprawilo mu to sensacją dziwną — dziwną z tego mianowicie powodu, że od czasu jak siebie zapamiętał, nigdy nie sypiał sam: w domu rodzicielskim dzielił łóżko z czeladnikiem, lub z terminatorem, później z Józefem. Sypianie samotne zdarzyło się mu tylko w czasie wędrowki pieszej, która go do szkoły zaprowadziła, i w ciągu tych dni kilku, które w restauracji pod figojkiem spędził. Pobiegł myślą wstecz i przypominał sobie wypadki różne życia własnego: ojcowski pociąg, matczyną pieczołowitość, chłopskie chałupy, noclegi w polu i na sianie, twardą a wąską ławę pani Jędrzejowej, chłopca ulicznika, chłopca tego samego na złodzieja wykierowanego... Obracał się na łóżku, roił, aż zasnął. Roilo mu się przez noc całą. Zdaje się jednak, że sny jego, obszedłszy koło pewne, powróciły do punktu wychodniego, obudził się bowiem z zapytaniem na ustach:

— Gdzie ja jestem?

Obudził się całkowicie i dobrze wyweczasowany, a zadawszy sobie pytanie powyższe, na równe zerwał się nogi, jakby w przestkach. Pomyślał sobie, że już w domu wszyscy oddawna powstawać musieli, że szósta godzina minęła już od czasów niepamiętnych. Podrażniło to jego miłość własną.

— Ach! — powiedział sam do siebie — co o mnie pomyśli ten pan?

Dzień wciskał się przez okiennice, w żaluzje zao patrzono.

Owładnął nim niepokój. Nadstawił uszów — ci cho. — W ciszy odezwało się gdzieś bicie zegara: raz... dwa.

— Co to? — zawołał. — Druga? Przecie o drugiej w nocy jeszcze ciemno. A! zapewne to kwadrans... Wpół... ale do której?

Snuły mu się po myśli: wpół do ósmej, wpół do dziewiątej; najprawdopodobniejszą jednak wydawała się mu godzina wpół do siódmej, a to dlatego, że gorąco pragnął, ażeby nie było więcej. Przypuszczał że półgodzinnego zaspania nie przeczytają mu przecie za zbrodnię.

— Ubiorę się w minut dziesięć i...

Nie wiedział co tam wypadnie dalej, lecz rzucił się do ubierania z pośpiechem nadzwyczajnym i w przeciągu minut kilku całkowicie był gotów. Wówczas dopiero przyszło mu do głowy zapytanie:

— Cóż dalej?

Znów uszów nadstawił — cicho.

Podszedł do okna i otworzył je. Przypatrując się okiennicy, doszedł sposobu otworzenia takowej. Popatrzenie jednak przez okno do żadnego nowego nie poprowadziło go odkrycia, z wyjątkiem chyba tego, że ujrzał ogród w guście angielskim, zagajenia w dali, bliżej zaś trawnik obszerny, na którym rosa wyglądała nakształt milionów brylancików, rozkładających pryzmatycznie promienie słoneczne. W zagajeniach świegotowało ptactwo. W dali gdzieś porykiwało bydło. W powietrzu wałęsały się głuche jakieś echa. Nie do ech mu jednak, nie do ptaszków i nie do rosy kropel było. Umysł jego przenikła nawskróś troska:

— Która godzina?

Wysłuchując się w oczekiwane bicie powtórne zegara, usłyszał dygotanie jego w pobliżu. Obejrzał się po pokoju i wzrok jego padł na cyferblat zegara, stojącego na komodzie i pokazującego — o radości! — trzy kwadransy na piątą. Odkrycie to ucieszyło bohatera naszego ogromnie. Niby ciężar z serca mu spadł.

— No — powiedział sam do siebie — chwala Bogu! Roztasuję się więc.

Otworzył walizę i zajął się układaniem w komodzie bielizny i sukien, w szafie książek. O wpół do szóstej uporządkował się zupełnie i pomyślał o napisaniu listu do Józefa.

— Oczem mu jednak pisać? — zapytał. — O tem zem zajechał? a dokąd?... Poczekam jeszcze do jutra, do pojutrze.

O szóstej powstał nagle ruch w domu, manifestujący się zapomocą chodzenia, odgłosów mowy ludzkiej i otwierania drzwi. W pokoju jego pojawił się chłopak wyrostek, w płóciankę odziany i, ujrawszy go ubranym, krzyknął:

— O! a ja po buty do czyszczenia!

— Czy pan i panicz wstali już? — zapytał go Kaźmirz.

— Wstają i do kąpieli się wybierają.

Chłopak odszedł i wkrótce potem wpadł Franio, wołając:

— Dzień dobry panu, panie Kaźmirzu! Nie chce pan z nami do kąpieli?

— Ubrałem się już.

— Co to znaczy? Rozbierze się pan i znów ubierze. Proszę pana!

Nie było najmniejszej dobrej racji do nieuczynienia zadość prośbie Frania. Kaźmirz poszedł za uczniem swoim i spotkał czekającego na ganku gospodarza domu, który powitawszy go, w następujący odezwał się sposób:

— Zobaczysz pan, jaką to my sobie pyszną kąpiel spadową urządzili w Orchowicach.

— W Orchowicach? — krzyknął bohater nasz.

— A no? — rzekł gospodarz domu, tonem okrzyku tego zdziwiony nieco.

— Więc to Orchowice?

— Nie wiedziałeś pan o tem? A więc i nazwiska mego nie znasz?

— Nie znam.

— Nazywam się Krzysztof Orchowski. Ale — zapytał idąc — dlaczego w paru nazwa wsi mojej takie wywołała zdziwienie?

— Dlatego że o panu słyszałem — odpowiedział Kaźmirz, wyrazy polykając.

Pan Orchowski nie posuwał indagacji dalej — czemu? — o tem w następującym dowiemy się rozdziale.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kopernik jako ekonomista.

(Dokończenie.)

Tym sposobem Kopernik wyraźnie uznaje dwie podstawy wartości pieniędzy: pierwsza wypływa z samego metalu używanego w przemyśle, druga zaś jest wynikiem przyjęcia go do robienia pieniędzy. Złoto bowiem i srebro, niezależnie od użycia ich do robienia monety, konieczne są do tytu potrzeb i tyle pracy kosztują przy ich wydobyciu i wytopieniu, iż same przez się mają wartość, a po przyjęciu ich jako środka wymiany i powiększeniu liczby ich zastosowań do praktycznego użytku, nabierają jeszcze większej ważności i stają się bardziej cennie, bo do pierwotnej wartości wewnętrznej przybywa nowa i donioślejsza.

Co się tyczy praw monarchy ciągnięcia zysków z przerabianego w jego mennicy złota i srebra na pieniądze, Kopernik stanowczo zaprzecza legalności podobnego przywileju i uznaje tylko prawo potrącania kosztów fabrykacji, które pokrywają się już to przez przemieszanie miedzi, już przez nadawanie monecie wartości nieco wyższej od tej, jakaby posiadał tenże sam metal w sztabie.

Niema wątpliwości iż kosztu mennicze winny być wynagradzane, bo bicie monety niczem innym nie jest, jak przerabianiem pierwotnych ma-

teryj, które wymaga znacznego kapitału i pracy niemaliej.

Można się sprzeczać o wysokość tego wynagrodzenia, ale prawo do niego nie ulega najmniejszej wątpliwości i według zasad kardynalnych nowożytnej ekonomii, fabrykowanie bezpłatne uważa się za niesprawiedliwość i błąd. Niesprawiedliwość,

bo przez nią faworyzowałyby się posiadacze kruszcu w sztabach, ze stratą całego narodu, któryby sam musiał płacić kosztu bicia monety. Błąd, bo ciągle przetapianie monety na materiał do prywatnego użytku, zwłaszcza przy braku metalu na zaspokojenie potrzeb, nieskończenie powiększałoby pracę mennicę, a tym sposobem powtarzałaby się historia Penelopy, która w nocy pruć płótno dniem utkała.

W epoce gdy system handlowy, który przez długie wieki sprowadzał najgubniejsze skutki dla ekonomii narodów, wszędzie rządził wszechwładnie, uważając ilość monety za próbierz publicznego bogactwa, zasługuje na uwagę w dziele Kopernika odradzanie bicia w znacznej ilości monety i dowodzenie że moneta traci na wartości przez zbytne rozpowszechnienie „*vilescit moneta ut plurimum propter nimiam multitudinem.*” Zasada ta nie straciła swojej wartości nawet i w późniejszych czasach, chociaż było i jest wielu ekonomistów, którzy nie mają dokładnego pojęcia o cyrkulacji monetarnej.

Nie przeczę że rozliczne okoliczności, które należy zbadać dokładnie, aby oznaczyć ilość monety potrzebnej dla jakiegoś kraju, przedstawiają tu dość zawile zjawisko. Względna wartość monety i towarów które się znajdują na targu, jej obieg prędki lub powolny, rozwój większy lub mniejszy czynników ją zastępujących, są nader trudnymi do oceny oko-



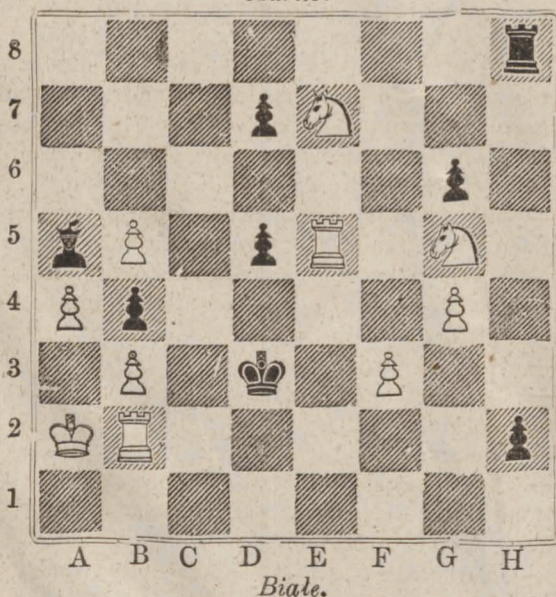
Przy czytaniu. Podług obrazu A. Piot.

251

SZACHY.

ZADANIE XXXVI.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciami.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego nr. 35.

Białe.

Czarne.

- 1) E3—D5 . . . 1) D3—C2 (a).
- 2) H2—G3 biorą 2) C2—D3 (albo H8—H1)
- 3) D5—B4 † . . . 3) D3—D2.
- 4) G5—F3 † i mat.
- (a) 1) D3—D4.
- 2) D5—B4 . . . 2) D4—C5.

3) G5—E6 † . . . 3) C5—D6 (b).

4) E1—D1 † i mat.

(b) 3) C5—B5.

4) E1—E5 † i mat.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA Karola Szajnochy.

TOM IV.

SZKICE HISTORYCZNE (dokończenie),
LECHICKI POCZĄTEK POLSKI, JADWIGA I JAGIEŁŁO,
w tych dniach opuścił prasę drukarską.

WARUNKI PRENUMERATY:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.

w Warszawie za tom . . . rs. 1 kop. —

w cesarstwie i na prowincyi . . . 1 „ 10.

Dla nieprenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.

w Warszawie za tom . . . rs. 2 kop. —

w cesarstwie i na prowincyi . . . 2 „ 10.

Oprawa ozdobna jednego tomu na sposób zagraniczny w płótno angielskie z wyciskami i złoceniami na grzbiecie:

w Warszawie kop. 40.

w Cesarstwie i na prowincyi . . . „ 50.

Uwaga. Prenumerata na dzieła Karola Szajnochy w cesarstwie i na prowincyi przyjmuje się najmniej na 2 tomy.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

252



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 40.

Potwarz, obmowa, plotki, to różaniec dewotki.

licznościami i dlatego niełatwem jest rozwiązanie problemu: ile należy bić pieniędzy w danym państwie—cyframi pewnymi i do wszystkich dającymi się zastosować wypadków. Najznakomitsi dzisiaj ekonomiści, dając radę aby pod tym względem roztropny administrator zastosował się do okoliczności, w gruncie rzeczy zgadzają się z zasadą Kopernika. Złoto i srebro, mówią oni, otrzymuje się tylko kosztem wielkich poświęceń, niszczy się przez używanie, a przez bicie monety odwraca zawsze znaczne kapitały i pracę od korzystniejszych przedsięwzięć; jest więc bardzo roztropnym zastosować w każdym państwie kapitał monetarny do potrzeb wymiany i starać się, o ile to jest możebnym, o śpieszny jego obrót, bo inaczej, trzymając się słów Kopernika: „pieniądz straci swe znaczenie wobec innych towarów, a wtedy nic innego nie pozostaje, jak go przetopić i powrócić mu pierwotną równowagę.“

Zaiste, w pomienionej rozprawie Kopernik okazuje się w całym majestacie nie tylko wielkiego astronoma, który umieściwszy słońce w centrum swego planetarnego systemu, sam niejako stał się centrum światła, oświecającego swemi promieniami drogi niebieskie; nie tylko znamienitego geniuszu, który w każdym kierunku wiedzy ludzkiej odgaduje zasady i prawdziwe tworzy teorie naukowe—ale także wzniosłego patrioty, który nie idzie za przykładem znacznej części uczonych, zawsze w nadziemskich sferach bujących, lecz ożywiony gorącą miłością kraju, szuka środków pocieszenia swych braci i uszczęśliwienia swój ojczyzny w sposób praktyczny.

Zaprawdę, nie dla czego innego wziął się on do pióra, jak aby napiętnować nierząd, którego ofiarą został kraj jego i z rozpaczą woła: „Na tę klęskę ziemi naszej obojętnie patrzają ci, do których to należy i najmilszej każdemu ojczyźnie (dla której po Bogu świętszych nie mają obowiązków, a nawet poświęcić życie powinni) przez gnuśną opieszałość i nikiemność całkiem upadać pozwalają.“

Odkrywszy złego siedlisko i zbadawszy ranę, Kopernik zapowiada, czego jego ojczyzna spodziewać się może w przyszłości, jeżeli rychło nie pomyśli o zaradczych środkach. „Prusy ze złota i srebra оголоcone—są słowami smutnej przepowiedni—samą tylko monetą miedzianą mieć będą, a przez to ustanie przywóz zagranicznych towarów i wszelki handel upadnie.“ Kopernik nie usiłuje jednak prostem twierdzeniem przekonać kierowników sprawy publicznej o słuszności swego zdania, ale określwszy podstawy wartości monetarnej, przechodzi całą historią monety pruskiej i zarówno kwitnący jak upośledzony jej stan porównywa z nędznym lub świetnym stanem ekonomii narodowej, a tym sposobem z wymownej istoty faktów wyprowadza naukowe zasady.

Skoro moneta jest miarą i równoważnikiem wszystkich rzeczy, pierwszym więc skutkiem, jaki z jej pogorszenia wypływa, jest zmiana stosunku w ce-

nach. Ilekroć prawodawca metalowemu krążkowi nadaje wyższą od rzeczywistej wartość, zaraz cena wszystkich rzeczy się podnosi. „Złoto, pisze Kopernik, srebro zboże, płaca robotników i wszystko co służy ludziom do codziennego użytku drożeje, a wtedy nieustannie zewsząd podnoszą się skargi.“

Falszowanie monety najbardziej szkodzi tym,

stawione na niebezpieczeństwo wymiany na pieniądze z podłej mieszaniny, znikają, a handel z zagranicą upada, „bo któryż kupiec zagraniczny, pyta się Kopernik, będzie chciał sprzedawać swoje towary za lichą monetę i który z nas będzie mógł w dalekich krajach nabywać obce towary?“ Zaiste, nad fałszowanie monety nie można znaleźć większej przeszkody do swobodnego

rozwoju cyrkulacji, bo zaród śmierci znajduje się w samym jej organizmie.“— „Wiele dowodów, dodaje Kopernik, wyjaśnia to dostatecznie, a doświadczenie, ten najlepszy w życiu nauczyciel, świadczy o prawdziwości słów moich. W rzeczy samej widziemy że szczególnie te kwitną państwa, w których jest dobra moneta, upadają zaś i giną te, które spodloniej używają. Kwitnęły także i Prusy, gdy grzywnę pruską za dwa złote (dukaty) węgierskie kupowano i gdy dwie grzywny pruskie i osiem skojców za pół funta czystego srebra wymieniano. Teraz zaś codziennie wartość monety coraz bardziej się zmniejsza i ojezyzna nasza już to przez zarazę, już przez inne klęski do ostatniego przywiedziona upadku, prawie już nad grobem stoi. Niezawodną jest rzeczą, iż narody posiadające dobrą monetę mają podostatkami dzieł sztuki, wybornych rzemieślników i wszelkich rzeczy; przeciwnie zaś w państwach gdzie jest zła moneta, nieczynność i gnuśność zabija uprawę sztuk pięknych i wykształcenie władz duszy i we wszystkim czuć się daje niedostatek.“

Gdyby jednak Kopernik był poprzestał na samym tylko obaleniu systemu istniejącego, nie spełniłby we własnym przekonaniu swego zadania i dlatego wskazuje środki, zdolne polepszyć los ziem pruskich. W przedstawionym przez niego projekcie monetarnym widnieje mądrość i postępowość urządzeń, na które zdobyć się tylko może geniusz głęboko patriotyczny i przywykły do rachowania się z wpływem, jaki historia, zwyczaj i instytucje narodowe wywierają na wprowadzające się w życie reformy. Po tak długim upadku monety pruskiej, uznaje niemożebność przywrócenia jej od razu do dawnego stanu, ale twierdzi zarazem, iż znaczne ulepszenia powinny być wprowadzone pod tym względem. Za dawnych czasów z pół funta srebra bito dwie grzywny, obecnie bije się ich dwadzieścia; różnica między temi cyframi jest zbyt wielka, aby od jednego razu dała się usunąć. Proponuje więc wybijać na przyszłość tylko 10 grzywien, a dla usunięcia zamieszania w cyrkulacji monetarnej, wycofać dawną podług nowego kursu i w mennicy przetopić. Uwzględniając stosunek srebra do złota w sztabach w han-

dlu przyjęty, doradza, aby i mennica zachowała takowy i ściśle go określiła pomiędzy monetą srebrną, a złotą o téjże samej wartości. Dla zabezpieczenia praw osób związanych kontraktami, przed wprowadzeniem nowego systemu zawartymi, proponuje prawo przechodowe, zabezpieczające swemi przepisami obie strony od straty.



Śmierć Wirginii. Obraz J. Bertranda.

Zapewne nie uszło czytelnika uwagi, iż wykonanie pomysłów Kopernika obejmuje zarazem zasadę jedności. Dziś jeszcze, kiedy targi całego świata swobodnie otwarte są żądaniom i ofertom każdego kraju, trudnym jest i prawie niepodobnym przekonać ludzi o błogim pożytku ujednostajnienia monety, coby nie tylko ułatwiło międzynarodowy handel, ale także zniosło koszt zmiany obecnie nieuniknione, skutkiem różnego systemu w podziale pieniędzy (1). Szczególniej zasługuje tu na uwagę stanowczość Kopernika, z jaką występował za zniesieniem wielorakiego bicia monety w jednym czasie. Za dni Kopernika każde miasto, każdy król, każdy możnowładca, chociażby najmniejsze terytorium posiadający, obstawał za prawem bicia monety, a jakby dla zabezpieczenia swęj niepodległości i okazania iż takowa jest zupełna, wyszukiwano nowe systemy, znaki i nazwy, całkiem odmienne od tych, których używano w sąsiednich krajach. „Trzeba zapobiedz, pisze Kopernik, zamieszaniu jakie z różności mennic, w których mają bić monetę, wyniknąć może. Rozmaitość bowiem staje na przeszkodzie jednostajności i trudniej jest wiele mennic w karbach obowiązku utrzymać, niż jedną. Dwa przeto najwięcej powinny być wyznaczone miejsca: jedno w ziemiach królewskich, drugie zaś w posiadłościach książęcych. W pierwszym miejscu niech biją monetę oznaczoną herbami króla na jednej stronie, ziem pruskich na drugiej. W drugiej zaś mennicy niech na pieniądzach będzie herb królewski z jednej, a książęcy z drugiej strony, z tym zawsze warunkiem, aby obie monety władzy królewskiej podlegały i z rozkazu króla jegomości w całym królestwie były przyjmowane. Takie urządzenie niemało przyczyni się do pojednania umysłów i do ułatwienia wzajemnego handlu.“

Nie chwilowy zaiste zapal pobudzić może do obeznania się z podobnym dziełem; ale wzniosłość pomysłu i naukowa pewność, których ono wybitne nosi piętno, usprawiedliwiają i studium nad niem zrobione, i pochwały jakie się mu oddają.

Mikołaj Kopernik, żywo pragnąc pomysłowości i chwały narodowej, począł zastanawiać się nad dziejami ziem pruskich, politycznie wtedy do królestwa polskiego należących, i przyszedł do przekonania, że powodami ich upadku były: „niezgodność, śmiertelność, niepłodność ziemi i upodlenie monety. Trzy pierwsze tak są jasne, iż nikt ich zaprzeczyć nie może, ale co się tyczy czwartej, to jest upodlenia monety, niektórzy tylko, i to głębiej się zastanawiający, odgadnąć ją mogą, bo nie gwałtownie, lecz zwolna i niejako ukrytymi sposobami państwa o upadek przyprowadza.“

Aby monecie przywrócić utraconą godność, starał się ją wprowadzić na drogę właściwą i szczęśliwie tego dokonał. Ów cudowny środek, dzięki któremu ludzie wszelkich krajów wzajemnie jedni dla drugich pracują i natychmiast otrzymują zasłużoną nagrodę, będącą bodźcem produkcji i podstawą dobrobytu—moneta, uzyskała wreszcie prawdziwe swe stanowisko odnośnie do działalności człowieka. Znać w tym to samo technienie geniuszu, które go później skłoniło, aby ziemi i słońcu nadać właściwe położenie w przestworach wszechświata.

Śmierć Wirginii.

„Paweł i Wirginia,“ arcydzieło Bernardina de Saint-Pierre, książka która, z wyjątkiem Pisma świętego, najwięcej chyba miała wydać, bo liczy

(1) Zobacz wybrane rozprawy profesora Sacerdoti: „Sulla Unificazione internazionale del sistema monetario,“ (Padwa 1869. Druk Prosperiniego) i „Inchiesta monetaria tenuta dal Consiglio Superiore del commercio in Francia e deposizione fatta nel seno del medesimo“ (Padwa 1871. Druk Randiego). Do głośniejszych obrońców ujednostajnienia monetarnego należą w XVI stuleciu Jan Stigelius, Szymon Stevin, Kacper Scaruffi; w XVII wieku Jan Marquez i Sebastyan Vaubari; w XVIII stuleciu Santa Cruz de Marcenado, Dietrich, Herman Hegewisch i Honorat Gabryel Mirabeau.

ich czterysta przeszło—wdziękiem i malowniczością swęj treści niejednego już artystę natchnęła do mniej lub więcej udatnych kompozycji.

W liczbie ich jednym z najszcześniejszych jest p. J. Bertrand, który niedawno na wystawie sztuk pięknych w Paryżu wystąpił z przesłicznym obrazem, zatytułowanym „Śmierć Wirginii.“

Przedmiot malowidła sam się tłumaczy, bo i któż nie zna smutnego losu bohaterki romansu Saint-Pierre'a? Zwłoki Wirginii, po rozbiciu się okrętu Saint-Géran, na którym płynęła, aby się połączyć z Pawłem, fale morskie na brzeg wyrzuciły. Ciało topielicy, szczelnie osłonięte suknią, której wstyd dziewiczy zrzucić jej nie pozwolił, choć mogła tém ocalić sobie życie—zachowało i po zgonie cały wdzięk swój i urok. Dłoń śmierci nie zdołała jeszcze zeszpecić powabnych jego kształtów. Bezładność tylko postaci świadczy, że anioł zniszczenia dotknął jej w przelocie.

Taką zapewne Bernardin de Saint-Pierre wyobrażał sobie bohaterkę wzruszającej swęj opowieści, i taką też przedstawił ją utalentowany malarz, który za swój utwór w Paryżu pierwszą uzyskał nagrodę.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedya w 4-ch aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

S e w e r a.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

Scena 6.

LORD I NORTH; przy drzwiach lokaje, z boku POCOCK.

LORD.

No, teraz na nas kolej.—North, bawisz się?

NORTH.

Wybornie! Lecz, James, powiedz mi otwarcie, czy dotąd w całej tej historii ani razu nie pomyślałeś o wigach? (Ciszej, pokazując mu drzwi więzienia.) Zaręczam, że to także wig.

LORD.

Bezwątpienia, i dlatego myślę o nich. Zaimponujemy im!

NORTH.

Brawo! tak to lubię i bawię się. (Lord podaje rękę Northowi, idą razem na prawo; dwóch lokaj po przedza ich, otwiera drzwi i staje po obu stronach.)

LORD (przechodząc do POCOCKA.)

Pocock, czuwaj! (Pocock chce usłyszeć, nadstawia ucho z ręką, lecz nie dosłyszawszy, kłania się.)

Scena 7.

POCOCK (sam).

POCOCK.

Ha, nareszcie Pocock nie je darmo chleba! Wywlekają Pococka, jak zarzucony na strychu grat, jak stary dokument w procesie. A rozumie się! Pocock staje się odrazu ważną figurą. Pocock potrzebny, patrzą na niego, proszą go! Koło Pococka zaczyna obracać się wszystko, jak około osi! Mówią o nim, słuchają go! I Pocock nie ma lubić więźniów? A rozumie się!... (Pocock przygotowuje sobie łożysko około drzwi więzienia, nucąc. Potem zamysła się.) A jednak kto on i gdzie upolowany? To ciekawe.

Scena 8.

Wchodzą BULL I PEGGY.

BULL.

Kiedy panienska tak chce, to musi się tak stać.

PEGGY.

Chce koniecznie, ale ja się boję.

BULL.

Gdy lordowie się bawią, to czego się ty boisz? (Bull patrzy na Peggy i bije się palcem po czole.)

PEGGY.

Człowieku, człowieku, a jeżeli lordowie się mszczą, to ja się nie mam bać o ciebie i o siebie? O wszystko się boję. Rozumiesz?

BULL.

Kobięto, proszę cię, nie lękaj się o mnie.

PEGGY.

Zresztą jak sobie poradzisz z tym nietopérzem? (Spogląda na POCOCKA.)

BULL.

Zostaw to Bullowi, a ruszaj po wino. Mocnego wina przynieś pełen dzban. Paniękę uspokój i wracaj—wracaj natychmiast!

PEGGY.

Człowieku, człowieku, ja jestem...

BULL.

Jesteś nieszczęśliwą, wiem o tém, ale wracaj jaknajspieszniej! (Wyprowadza Peggy.)

Scena 9.

POCOCK, BULL.

POCOCK (patrząc na Bulla, do siebie).

Już się schodzą, nie mogą nawet doczekać do dnia.

BULL.

Ho, ho,—pan Pocock teraz zdumniał. (Pocock się zbliża z ręką przy uchu, robiąc koło, aby stanąć w odpowiedniej stronie Bulla.) Mówię zdumniał, bo nie poznaje starych znajomych.

POCOCK (zasłaniając się ręką od światła, patrzy na Bulla).

A to ty, kochany Bull? Nie poznałem cię, i nie dziw się temu... w tak ważnej chwili... I cóż cię do nas sprowadza?...

BULL (do ucha POCOCKA).

Ba, co—a cóżby? (Pokazuje na drzwi więzienia i palec przykład do ust.)

POCOCK.

No, no, mówże!

BULL.

Przywiozłem go.

POCOCK.

Ty?...

BULL.

Ja.

POCOCK.

A mówże!

BULL (przykład do ust).

POCOCK.

Prawda, a mnie co to obchodzi? Jest więźniem lorda Harvey i basta. Pocock zamyka i milczy...

BULL.

Ale jakim więźniem?! To nie jest pierwszy lepszy dzentelman z ulicy.

POCOCK.

Poznałem to odrazu. A rozumie się!

Scena 10.

Wchodzi PEGGY z dzbankiem wina i szklankami. BULL (w dalszym ciągu, spostrzegając Peggy, szepcze do ucha POCOCKA.)

Mówią że to książę.

POCOCK (pocichu).

Co ty pleciesz?

BULL.

Powiadają, mówią że to książę.

POCOCK (z mocą i najżywszą radością).

Żaden Pocock nie trzymał jeszcze księcia pod rygłem, a chodziło ich już sześciu z temi samymi kluczami!

PEGGY (ustawiając na bocznym stoliku dzbanek i szklanki).

Nasza młoda pani rozkazała przysłać wam to, panie Pocock, dla orzeźwienia się, bo pewno będziecie czuwali.

POCOCK.

A rozumie się, całą noc. Dobra pani. Broughamy o Pococku nie zapominają.

BULL (daje znak Peggy, by odeszła).

POCOCK (do Bulla).

Mówisz książę?...

BULL.

Tak, bo na dworze w Windsor...
POCOCK (z najwyższym zdziwieniem).

Na windsorskim dworze? Kochany Bull! (Klepie Bulla po ramieniu.) Pocock trzyma pod

kluczem więźnia z windsorskiego dworu! I to prawda?

BULL (*naléwa kubki.*)

Nasze zdrowie!

POCOCK.

Nie, nie—Harveyów zdrowie!

BULL.

Duszkciem!

POCOCK.

A rozumie się! (*Wychylają do dna kubki.*)

BULL (*naléwa powtórnie.*)

A ja zdrowie Broughamów! Z prawa się to należy.

POCOCK.

I z obowiązku, Bull, i z obowiązku. A rozumie się!

BULL.

Zatém Broughamy niech żyją!

POCOCK.

Harveye i Broughamy, to jak jedno... Mówisz książkę z Windsoru?

BULL (*do ucha, cicho.*)

Tak powiadają.

POCOCK.

Gadajże, prędzej!

BULL (*daje jeden kubek Pocockowi, drugi podnosi w górę.*)

Nasze zdrowie!

POCOCK.

Nasze, wiernych sług zdrowie! (*Piją duszkciem. Do ucha Bulla.*) Z pewnością książkę?

BULL (*naléwa kubki, a potem do ucha Pococka.*)

Królowa miała powiedzieć...

POCOCK (*przebieira z niecierpliwości nogami.*)

Gadaj, gadaj!

BULL (*do ucha Pococka.*)

Królowa miała powiedzieć...

POCOCK.

Daléj!...

BULL.

Mój lordzie Harvey, do Pococka z nim!

POCOCK.

Boże! Boże! (*Wyjmuje chustkę i obciera lzy.*)

BULL.

Ale to tajemnica stanu.

POCOCK (*chwytając kubek z winem.*)

Na cześć królowej! A rozumie się! (*Pije z Bullem duszkciem, poczem zaczyna się śmiać i płakać. Siada.*) Tajemnica stanu, do Pococka z nim! Ojciec mój, i tyś tego nie doczekał! (*Placze.*)

BULL (*podaje Pocockowi kubek nalany.*)

A zatém, pamięci twego ojca!

POCOCK (*biorąc kubek.*)

Pocziwy to był stary, przeżył tyle lat i nie doczekał się...

BULL (*również w połowie pijany.*)

Ale się doczekał, jak jego synalek historye wyprawiał — pamiętasz, będzie temu przeszło lat czterdzieści, pamiętasz? Nelly i te awantury, co się aż o lorda oparły...

POCOCK (*powstaje, chwytając się na nogach, podchodzi do Bulla i częstuje go boksem w bok, śmiejąc się.*)

Bull, to była dziewczyna, co? a rozumie się! Pocockowie to i owo potrafią. (*Zaczyna nucić pod nosem.*)

BULL.

Niech żyje Nelly!

POCOCK.

Kiedy Nelly, to niech żyje i Sara! Sary nie pamiętasz—co? Jakie oczy, a włosy krucze aż do pięt. (*Śmieją się i piją.*) Mówisz tajemnica stanu?... Królowa, dobra królowa, mówiła: Do Pococka z nim! (*Pocock idzie do posłania swego koło drzwi i poprawia je. Peggy zagląda z prawych drzwi od widzów i chowa się. Pocock, poprawiając posłanie, klęka, usiłuje wstać, lecz nie może. Bull zbliża się do niego i lekko kładzie staruszką na posłaniu.*)

POCOCK (*cicho.*)

Bull, tajemnica stanu!

BULL.

Tak mówią.

POCOCK (*obejmuje drżącymi rękami twarz Bulla i całuje go.*)

Bull, dziękuję ci! (*Zасыpiając.*) Królowa... książkę... Do Pococka z nim!... ojciec... (*Zасыpia.*)

BULL (*odpasując Pocockowi pas z kluczami.*)

No, no, stary, śpij spokojnie, a przebac Bullowi kłamstwo, które cię robi szczęśliwym. I on kocha Harveyów... (*Naléwa i wypija kubek wina, a klucze podnosi w górę.*) Bull, gdy potrzeba, umie milczeć, ale i mówić potrafi, gdy chce. (*Pukając palcem po czole.*) Tu, tu nie jest tak źle jak myślał i jak się wydaje. (*Peggy wychyla głowę, Bull kiwa na nią i pokazuje jej klucze.*)

Scena 11.

BULL PEGGY.

PEGGY (*zbliża się.*)

Bull, ja cała drzę!...

BULL.

Drzyj, drzyj, i ja drzę, ale z radości. Przypominasz sobie jak drżałaś przed trzydziestu laty? pamiętasz? Ho, ho! wtedy moja Peggy miała oczy spuszczone...

PEGGY.

Cicho ty stary! właśnie teraz pora żartować.

BULL.

Peggy drzyj, drzyj, jak przed trzydziestu laty drżałaś, jeżeli jeszcze potrafisz...

PEGGY (*przerwywając.*)

Co daléj, co daléj robić?

BULL.

Powiedziéć naszej pani, że wszystko gotowe.

PEGGY.

Drzę na całym cielem.

BULL.

Drzysz z nieszczęścia, to już wiadomo. Idź po panienkę, mówię. (*Fopycha lekko Peggy. Peggy wychodzi drzwiami na prawo.*)

Scena 12.

BULL (*sam.*)

BULL (*naléwa kubek wina.*)

Kiedy lordowie się bawią i potrzebują nas, dlaczego i my nie mamy się zabawić? Bull, twoje zdrowie! (*Naléwa powtórnie.*) Northa zdrowie! Wy się kochacie, co? Gdybym był Pocockiem, zawołałbym: „A rozumie się!“ (*Szuka między pękiem kluczy, znajduje potrzebny, zbliża się do drzwi, próbuje je otworzyć i nie może.*) Cóż u licha, czym pijany, czy co?... Stary jestem, ot i wszystko...

Scena 13.

Peggy, otwierając drzwi, wchodzi na palcach, przytrzymując podwoje ręką. Muzyka zaczyna grać cicho rytm walca. We drzwiach ukazują się Lidya, ubrana biało, wchodząc pośpiesznie na środek sceny. Peggy za nią przestraszona.

BULL, LIDYA, PEGGY.

BULL (*odwraca się, chwytając kapelusz trójgromiasty Pococka ze stołu, kładzie na nim klucze, podbiega do Lidyi, klęka i podaje jej.*)

Przebac pani, że nie na poduszce, jak to powinienem uczynić.

LIDYA (*oglądając się.*)

Dziękuję ci...

PEGGY (*gniewnie pocichu przerywa.*)

Dlaczego nie otwierasz?

BULL (*do Lidyi.*)

Życie oddam, jeżeli każesz, krew przeleję, jeżeli ci się podoba, ale czego nie mogę, to nie mogę.

LIDYA (*bierze klucze ze smutnym uśmiechem z kapelusza i oddaje je Peggy.*)

Wstań, dobry Bullu. Mam nadzieję że Peggy uda się otworzyć. (*Peggy idzie z kluczami otwierając drzwi, próbując kluczy.*)

LIDYA (*do Bulla cicho i prędko.*)

Mój dobry Bullu, czy czujesz się na siłach odbyć natychmiast podróż konną do Londynu?

BULL.

Dla mojej pani i do Edynburga, nie zsiadając z siodła.

LIDYA.

Czy możesz mieć dwa konie wierzchowe?

BULL.

Najdroższa panienko, to się nie uda! Zamek i park otoczony.

PEGGY.

Otworzyłam! (*Drzwi więzienia pozostają odchyłone.*)

LIDYA (*poprawiając ręką rozpuszczone włosy, drżącym głosem.*)

Proszę cię, Peggy, poproś pana Juliusza. (*Lidya i Bull patrzą ciekawie na Peggy. Peggy wchodzi w ciemny korytarz ostrożnie—cofa się i ucieka przestraszona.*)

PEGGY.

Okropne! okropne!

LIDYA I BULL (*jednocześnie.*)

Co się stało?

BULL.

Co ty wygadujesz?

PEGGY.

Widziałam, widziałam wszystkich Pococków. Stali jeden przy drugim, z rękami wyciągniętymi

BULL.

Przebac jej, pani. (*Patrzy na Peggy, wzrusza ramionami i puka palcem po głowie.*)

PEGGY.

Jeżeli nie widziałam czterech Pococków, białych i chudych, niech padnie!

BULL.

Cicho!

LIDYA.

Może Bull wyręczy żonę i nie będzie się bał Pococków.

BULL (*klania się i odchodzi.*)

PEGGY.

Co to będzie, co to będzie? Ach, jak ja drzę cała, to tylko Bogu wiadomo!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Kronika paryzka.

Przeniesienie zwłok Bellini'ego z Paryża do Katanii (w Sycylii). — Komisya włoska kierująca tym obrzędem; jej skład. — Ceremonia na cmentarzu Père-Lachaise. — W jakim stanie znaleziono zwłoki po odkryciu trumny. — Grobowiec w Paryżu i napisy na nim. — Mowy. — Margrabia de San Giuliano i poeta Ardizzone. — Szczegóły o życiu i śmierci malarza Fromantina i kompozytora Felicyana Davida.

W piątek, 15 b. m., odbył się rozrzewniający obchód przeniesienia zwłok Bellini'ego z Paryża do Katanii (Catana) w Sycylii, rodzinnego miasta zmarłego mistrza. Powiadom rozrzewniający, bo dla tych, co smutnym losem skazani są żyć i umierać na obcej ziemi, głęboko wzruszającym jest widok sprawiedliwości wymierzonej jednemu z tych opuszczonych, choćby po śmierci nawet—widok sprawiedliwości Boskiej i ludzkiej, która z uczuciem szacunku i troskliwe pamięci popioły zgasłych przenosi tam, gdzie je pokropić powinna łza ojczysta.

Dla mnie inny wzgląd jeszcze dopełniał tego wzruszenia. Utwory tego nieporównanej tkliwości mistrza wiążą się z najdroższymi wspomnieniami szczęśliwej, złotej młodości mojej. Pierwsze moje muzyczne wzruszenia wyszły z Normy, Lunatyczki, Purytanów; pierwsze poetyczne i literackie marzenia, pierwsze odbłyśki wyobraźni, z temi się dalekimi, tak bardzo dalekimi już dzisiaj wiążą dźwiękami. Dochowałem więc aż dotąd i dochowam nazawsze społeczenie i poszanowanie dla tego, któremu dziś większą nad wszystko cześć oddaje rodzinne miasto, powołując go do zajęcia należnego mu miejsca na wielkim, ostatnim polu, na polu umarłych w ziemi ojczystej.

Bellini umarł, jak wiadomo, młodo, w 33 roku życia i w całej pełni swój cwał, około Puteaux pod Paryżem, 23 września 1835 roku; przeszło więc lat 40 upłynęło, a sława młodego mistrza i dziś jeszcze, po wszystkich nawet usiłowaniach muzyki przyszłości—tak jasną jest i czystą, jak sława innego, również młodo zmarłego mistrza nad mistrze, Rafaela, z którym, choć w różnych sferach sztuki, łączy go pokrewieństwo geniuszu. Starzeją się formy naciągane, fałszywe, lecz proste pozostają niewzruszone i zawsze też same; bo prawda jest jedną, a jej poczucie, czy to wyrażone dźwiękiem Praxitelesa, czy piórem Rafaela, czy śpiewem Bellini'ego—przeżywa wieki i czasy, tak świeże, jasne, ponętne, jak gdyby wczoraj zrodzone.

To też na to proste wezwanie komisji, wyznaczonęj od miasta Katanii do sprowadzenia zwłok mistrza:

„Wszystkich Włochów i wszystkich przechodzących cześć dla pamięci Bellini'ego, zaprasza się do asystencji przy odgrzebywaniu jego popiołów, mającym się odbyć w piątek 15 września, o godzinie 11 z rana, na cmentarzu Père-Lachaise“

... liczenie zgrupowali się pobożni, aby ostatnią modlitwę pożegnania zmówić nad grobem tego, którego śpiew natchniony tyle nieraz rozkoszy potrafił przelać im do duszy. Śmiało powiedzieć można, że wśród tego wzruszonego tłumu nie było może ani jednej osoby, z prostęj tylko ciekawości przybyłej na cmentarz.

Komisja składała się: z księcia Grimaldi jęj prezesa, z margrabiego di San Giuliano, p. p. Florimo, Curro, Ardizzoni i Cataloni. Do niej przyłączyli się na cmentarzu p. Duval, prefekt departamentu Sekwany i Paryża, oraz wielka bardzo liczba znakomitości, szczególnięj muzycznych, nie licząc w to tłumu ludzi rozmaitej klasy. Asystencya artystyczna i literacka więcj niż z dwóchset składała się osób. Pan Florimo jest to mój dawny i dobry znajomy: wielkie moje uwielbienie dla Bellini'ego zbliżyło mnie z nim w czasie mego pobytu we Florencji. On to przysłał mi zapraszające wezwanie na ten obchód i wiele szczegółów przypomniał o Bellini'm.

W młodości ściśła przyjaźń łączyła go z tym mistrzem. W 1835 roku on go doglądał umierającego w Puteaux, i na jego to rękach Bellini oddał Bogu ducha. W ostatnich chwilach, kiedy w senném, gorączkowém rozmarzeniu stracił już przytomność umysłu, ciągle wzywał przyjaciela. Zdało mu się, że starania któremi go otaczał Florimo, były staraniem matki — mówił więc do niej: „Piszcie natychmiast do Florima, niech przybywa jaknajspiesznięj; nie chcę umierać, nie uściśnawszy ręki przyjaciela.“

I oto po czterdziestu latach rozłączenia ten sam przyjaciel poraz drugi oddaje ostatnią posługę zmarlemu. „Wówczas, mówił mi — komisją zajmującą się pogrzebem Bellini'ego składali: Cherubini, Rossini, Caraffa, Halevy, Paer, Habeneck i t. d. Dziś i oni odeszli na wieczny spoczynek i groby ich wszystkich otaczają nas wokoło.“

O jedenastej godzinie, jak zapowiadało obwieszczenie komisji, prefekt Duval przybył na cmentarz i za jego wejściem czekające przy bramie zgromadzenie ruszyło ku stronie, gdzie w małej odległości od kościoła na prawo znajduje się grobowiec mistrza. W gronie komisji, z ogromnym wieńcem laurowym, związanym trójkolorową (białą, czerwoną i zieloną) włoską kokardą, szedł młody człowiek w mundurze strzelców włoskich, z małym trójkątnym kapelusikiem, o ogromnych czerwonych kogucich piórach. Był to rodak zmarłego, p. Cataloni, dyrektor muzyki batalionu strzelców katarskich i jeden z delegowanych od miasta. Dziwnie jakoś wśród czarnych ubiorów zgromadzenia odbijał ten mundur, ale przypominał ziszczone nadzieje, które Bellini ledwie w dalekiem, niepewnym marzeniu mógł dojrzeć.

Pomnik Bellini'ego, na cmentarzu Père-Lachaise, który dziś próżno okrywa miejsce, jest to piramida z ciosowego kamienia, której front ozdabia z tegoż kamienia wykuty medalion znakomitego kompozytora i naturalnej wielkości geniusz mierni, z rozbitą lutnią i wyrazem żalu na twarzy. Na ścianach piramidy wypisane są imiona wszystkich oper mistrza, zaczawszy od Normy, aż do ostatniego dzieła. Członkowie komisji, przenosząc do ojczyzny popioły zmarłego rodaka, zostawili pamięć tego wypadku na próżnym dziś grobie paryzkiego cmentarza, kładąc nastę-

ny napis na marmurowej tablicy, przykutęj u spodu kamiennęj piramidy, od strony, gdzie sklep został otwarty, po czterdziestu latach spoczynku zmarłego:

Catania.
Grata alla Francia,
Nel zichiamare le Ceneri illustri
Questa lapide pose
15 Septembre 1876.

To jest: „Katania, wdzięczna Francji, w czasie odebrania dostojnych popiołów, położyła ten kamień 15 września 1876 r.“

Sklep był już otwarty naprzód i skoro obecni przybyli do stóp grobowca, wyciągnięto sznurami ołowianą trumnę, w której nabalsamowane zamy-

rem czekały trumny i gdzie miało nastąpić odsłonięcie ciała, dla sprawdzenia legalnego tożsamości osoby zmarłego. Ta okoliczność, jakkolwiek może być konieczną, smutne jednak i przykre robi wrażenie na tych, którzy, starym zwyczajem, widzą w trumnie i grobie wieczysty spoczynek zmarłego. Dla mnie przynajmniej to uderzenie młota ślusarza, któremu poruczono otworzyć ołowianą trumnę Bellini'ego, odezwalo się w duszy tak wstrętnym loskotem, iż musiałem użyć całej mocy, aby pozostać na miejscu.

Pomimo że ciało było nabalsamowane, pokazało się za otwarciem, iż było w rozkładzie, co dowodzi raz jeszcze, jak nasz tak zwany postępek dalekim jest w tej mierze od staręj, niby to bar-

széroko otwarte oczy, zamknięte, ściśnione usta. Ani słowa, ani westchnienia, jak gdyby czekali zmartwychwstania zmarłego. A dalej groby, pokryte bujną zielenią, a na nich imiona: Bernardin de Saint-Pierre—Cherubini—Grétry—Méhul—Talma—Herold—cały zastęp zmarłych, których geniusz tak głęboko poruszał i porusza dotąd jeszcze ludzkość.

Nakoniec odbyło się wszystko. Ołowiana trumienka, złożona do nowych na to przygotowanych trumien, zniknęła nam z przed oczu nazawsze—umarły wrócił do spokoju. Książ krótką odmówił modlitwę, pokropił święconą wodą trumnę i ze słowami: Requiescat in Pace—ustąpił miejsca członkom komisji.

ro i poeta Ardizzoni, rodem z Katanii. *Multa verba!* Nakoniec p. Escudier, w imieniu towarzystwa muzycznego, i p. Masson, w imieniu stowarzyszenia artystów dramatycznych. Czas też był, aby ludzie przestali zakłócać swą mową spokojność i tego miejsca, i tych zwłok, którym tyle jeszcze pozostaje do przebycia, zanim spoczną na wieki w rodzinnej ziemi i pod tym kamieniem, na którym może, jak powiada poeta: „niegdys jak dziecko igrał przy piastunce“ ten wielki, niezapomniany twórca tylu arcydzieł swęj sztuki.

Złożono nakoniec trumnę na wspaniale przybranym w ogromne wieńce wozie, ciągnionym sześciu końmi, za którym czternaście karét żałobnych i wielka liczba powozów oraz pieszych

opery warszawskiej, a drugi tój z naszych niewiast, która muzyczny talent stawia w rzędzie artystek posiadających żywą sympatją szanownęj redakcyi Tygodnika. (*)

Kiedy tak obchodzono uroczyste zstąpienie zwłok Bellini'ego, Francya widziała zstępujących do grobu, prawie jednocześnie, dwóch znakomitych własnych artystów... malarza Fromantina i Felicyana Dawida, kompozytora muzycznego. Pierwszy, urodzony w 1819 r., należy do najznakomitszych kolorystów francuzkich szkoły wschodniej. Fromantin późno trochę oddał się malarstwu i rodzajem wybranym przezeń były krajo-

brazy. Nigdy on nie podolał w zupełności trudnościom rysunku, ale zato koloryt, który jest wrodzonym darem natury i żadną się nie zdobywa nauką, pozwolił mu zająć jedno z pierwszych stanowisk w nowożytnęj szkole francuzkiej. Obrazy jego, wzięte szczególnie z scen życia Arabów w Algierji, odznaczają się nietylko świetnością i wdziękiem kolorytu, ale nadto niezmierną prawdą w tłumaczeniu wrażeń odebranych pod wpływem tój dziwnej gry światła, która jest właściwością owych krajin. Fromantin, oprócz tój zalety malarza, był także jednym ze znakomitszych prozaików literatury francuzkiej. Jego opisy podróży po Algierji, ogłoszone w swym czasie w *Revue des deux mondes*, a szczególnie pustyń Sahary, zalecają się takim blaskiem stylu, tak pięknym i czystym językiem, tak strojną formą, iż dzieło to stawia go wysoko jako pisarza. Ostatnie jego dzieło, którego pierwszy tom wyszedł na świat niedawno p. t. *Mistrze przeszłości (Les maîtres d'autrefois)*, jest to umiejętne i niezmiernie nauczejące przegląd prac dawniejszych mistrzów malarstwa. Ocenienie poważne, o parte nietylko na wielkiej znajomości malarstwa, ale na wyższém pojęciu prawdziwych zadań sztuki, nadaje tój książce szczególną wartość, którą pomnaża jeszcze wielki talent pisarski autora.

W ślad za Fromantinem, który zmarł w połowie sierpnia, poszedł muzyk znakomity, kompozytor znanych symfonij, Felicyan David (zmarły 23 sierpnia). Rzecz dziwna: obaj mistrze czerpali swoje natchnienie na Wschodzie, obaj sławili wdzięk i wielkość pustyni, obaj najlepsze swe dzieła poświęcili temu czarodziejstwu blasku, barwy i światła, które jest własnością Wschodu.

Felicyan David, równie jak Fromantin, był przedewszystkiem kolorystą; kompozycje jego, w których starał się i potrafił połączyć szczęśliwie głębsze poczucie stylu niemieckiej szkoły, z łatwością rodzinnęj muzyki — odznaczają się bogactwem harmonii, która jest właśnie przymiotem barwy, co obleka w swe błyszczące szaty proste i czyste linie symfonii. Dzieło, któremu David zawdzięcza swoją wziętość, jest symfonia „*Le Desert*“ Pustynia, jedno z pierwszych dzieł tego mistrza, ułotne bowiem śpiewy, *Melodies Orientales*, które je poprzedziły, są raczej przegrzywką jakby strojonej do czegoś wiekszego lutni. Melodye, pisane w 1835 roku, zaraz po powrocie

David a ze Wschodu, noszą już na sobie ceche tego natchnienia, którego wielki i zupełny wylew nastąpił dopiero w *Pustyni*.

David był jednym z najwierniejszych synów ojca Enfantina'a i do śmierci pozostał wierny zasadom Saint-Simonizmu. Niewielu już dziś zostało żyjących z tój dziwnej falangi: Michał Chevalier, Talabot, Pereire, Barbier... ile pamiętam; a rzecz szczególna, wszyscy zajmują ważne stanowiska, wszyscy dali dowody wielkiej wiedzy i wielkiego praktycznego rozumu. Dosyć tu przypomnieć, że Talabot jest dyrektorem generalnym wielkiej kompanii drogi żelaznej z Paryża do

(*) Uczyniliśmy zadość życzeniu szanownego korespondenta. (Przyp. redak.)



BAŁAGUŁA. Podług ob. Andta, rysował W. Szerner.

barzyńskiej manipulacji przeszłych wieków w Egipcie, gdzie nie po latach czterdziestu, ale po czterdziestu wiekach, mumie wyglądają jakby wczoraj do grobu złożone. Po odrzuceniu gruzu którym ciało było przysypane, po rozwinięciu całunu i płócien okrywających oblicze — pokazała się twarz zezerniała i tak rozlana, że nic w niej ludzkiego nie pozostało; odsłonięcie więc było nieużyteczne. Dalej trzeba było jeszcze plondrować w tój trumnie, dla odszukania urny, zamykającej w sobie serce wielkiego mistrza.

Skończono wreszcie, urna znalazła się, zamknięto trumnę, zalutowano otwór i złożono wszystko do dwóch przygotowanych trumien. Uroczysta to była chwila. Wokoło, z wyrazem jakby przerażonęj ciekawości, wyteżone szyje,

Wówczas margrabia di San Giuliano, w krótkiej ale serdecznej przemowie, wyraził podziękowanie dla Francji, która przez lat czterdzięci przechowała u siebie z szacunkiem drogie popioły zmarłego mistrza. Wraca on dziś do ojczystej ziemi, od której oddzieliły go niezależne od woli ludzkiej okoliczności i wypadki. „Dziękując — rzekł w końcu — za udzieloną gościnność, prosimy was, abyście nie wąpili o naszej życzliwości. Takie wypadki, są to punkta zetknięcia się narodów jednej rasy. Na nich to często spotykały się Włochy i Francya, i na nich się jeszcze nieraz zetkną zapewne.“ To przemówienie wywołało szczerę oklaski obecnych i okrzyki: Niech żyje Italia!

Następnie zabięrali głos po włosku p. p. Cur-

ciagnęła w milczeniu. Konwój udał się wprost z cmentarza do dworca kolei żelaznej z Paryża do Marsylii, żkąd wieczornym pociągiem ciało przewieziono zostało do portu tego ostatniego miasta.

Podałęm wam te szczegóły, bo wiem z jaką sympatją publiczność nasza przyjmuje zawsze przedstawienia dzieł tego mistrza. Wiem że nasze najznakomitsze śpiewaczki niejedną wawrzyn uszczknęły dla siebie z jego nieśmiertelnęj korony. Dołączam więc tu listek laurowy, zerwany z wieńca położonego na jego trumnie, i listek z drzewa, oceniającego jego dziś już pusty grobowiec na cmentarzu paryzkim — prosząc redakcyi, aby pierwszy zechciała w moim imieniu, jako serdeczną pamiątkę, doręczyć primadonnie

Marsylii; Pereire założycielem sławnego „Crédit mobilier de France;“ Michał Chevalier profesorem w kolegium francuzkiem i prezesem towarzystwa projektowanego tunelu podwodnego między Francją i Anglią. Jeden tylko David, może dlatego że artysta, pozostał wierny naukom ojca *Enfantin'a*.

David był jeszcze autorem innych symfonii muzycznych, ale te nie dorównały ani wartością, ani wziętością pierwszemu dziełu. Zostawił trzy opery: *Perła brazylijska*, *Herkulanum* i *Lalla-Ruk*. Najlepsza ta ostatnia. Umarł z piersiowej choroby w domu przyjaciół w St. Germain pod Paryżem i tam, jako wierny do grobowej deski St. Simonista, cywilnie pogrzebany został.

Listy z wystawy filadelfijskiej,

Sygurda Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.

(Dalszy ciąg).

Okazy z cesarstwa, jak ze wszystkich innych państw, podzielono w Filadelfii na działów siedem, z których każdy zawierał grup kilka, każda zaś grupę znów na kilka klas osobnych. Każda klasa miała swoje grupę przysięgłych, tak iż 600 sędziów podzielono na 70 komitetów, złożonych z 7-miu lub 9 członków.

Wspomniane działy mieściły się w rozmaitych pałacach. Ponieważ zaś gmach główny (*Main-Building*), pawilon maszyn (*Machinery-Hall*) i pałac pamiątkowy (*Memorial-Hall*) najliczniej były zwiedzane, ci przeto wystawcy, których rzeczy tam umieszczono, najlepiej zostali poznani przez świat amerykański.

Dział pierwszy tworzyły płody górnicze i metalurgiczne. Należały doń grupy: 1) minerałów i rud; 2) hutniczych wyrobów; 3) map, planów i rysunków tyczących się kopalń. W tym dziale byliśmy tylko reprezentowani przez mapy i plany, umieszczone w pałacu głównym.

Rękodzielnictwo tworzyło dział drugi, obficie trochę przez nas obesłany. Należały doń grupy: 1) chemicznych preparatów; 2) ceramiki, garncearstwa, porcelany i szkła; 3) mebli; 4) przedziwa i tkanin z roślinnych i mineralnych materiałów; 5) tkanin i filców wełnianych; 6) jedwabiu surowego i wyrabianego; 7) ubiorów i biżuterji; 8) papieru i wyrobów galanteryjnych; 9) lekarstw i chirurgicznych narzędzi; 10) wyrobów żelaznych i narzędzi siecznych; 11) powozów i uprząży; 12) wyrobów z jakiegokolwiek materiału, nieprzydzielonych do grup poprzednich. Do niej należały skóry, obuwie i t. d.

Większość produktów powyżej wyliczonych znalazłem w gmachu głównym, z wyjątkiem powozów i uprząży, które spoczywały w wielkim pawilonie wystawy powozowej, oraz skór, umieszczonych w podobnym pawilonie wystawy skórzanej i obuwia, wreszcie wyrobów ceramicznych, których okaz jedyny, posłany z Warszawy przez pana Cybulskiego, odszukałem w wystawie rolniczej.

W głównym pałacu umieszczono także dział trzeci, edukacyjny, przez nas mało obesłany, złożony z grup: 1) naukowych narzędzi; 2) rysunków budowniczych i inżynierskich; 3) przyborów szkolnych i modeli lub opisów zakładów wychowawczych; 4) projektów systemów edukacyjnych, poprawczych i karnych; 5) wyjaśnień metod naukowych, zbiorów książek szkolnych i bibliotek publicznych; 6) wszystkiego co służy do fizycznego, moralnego i społecznego podniesienia człowieka.

Grupy te wyliczyłem, gdyż z wyjątkiem kilku narzędzi naukowych, za których posłanie złożmy publiczne dzięki wystawcom, nie swojskiego w nich nie znalazłem. Jak *lucus a non lucendo*, celujemy tam tylko ujemnie—gdyż wcale nas niema. Czyż zawsze i wszędzie świadczyć będziemy o sobie wobec cudzoziemców, że najważniejsze zadania

nie społeczeństwa każdego, kształcenie przyszłego i podnoszenie obecnego pokolenia, leży u nas odłogiem?

Czwarty dział zawierał grupy: 1) malarstwa; 2) snycerstwa; 3) fotografii; 4) rytownictwa i rysunku; 5) malowania ceramicznego, na szkłe i roboty mozaikowych. Dzięki artystom naszym i warszawskim fotografom, w trzech pierwszych grupach stanęliśmy na równi z innymi narodami. Obrazy i rzeźby umieszczono w pysznym pawilonie pamiątkowym, gdzie komisji rosyjskiej oddano jedną z sal północnych, niezbyt przestroną, lecz dobrze oświetloną, z wyjątkiem jednej ściany. Brak miejsca zmusił komisję do powieszenia niektórych obrazów w przedsionku, innych zaś zbyt wysoko. Rzeźby Rygiera i Cenglera, tworzące sumę tego rodzaju okazów z cesarstwa, umieszczono w środku sali, otaczając je, dla bezpieczeństwa, galerijką, z po za której kamiennymi swymi ustami wołały o uznanie tłumów dla gniazda z kąd je przysłano. Bywały też tam tłumy rzeczywiście i taki zwykle ścisk panował między kratą chroniącą marmury i poręczą oddzielającą obraz Siemiradzkiego od publiki uzbrojonej w laski i parasole, że drżałem o całość poręczy. Że chętnie przebywałem w tej sali, wspominać niewarto bo każdy z czytelników moich byłby to samo uczynił, widząc w niej tylu starych znajomych i czytając tyle ukochanych nazwisk.

Czwarty dział składały: 1) narzędzia górnicze i chemiczne; 2) przybory do obrabiania żelaza, drzewa i kamienia; 3) tkalnie i przędzalnie; 4) szwalnie i przybory do szycia; 5) drukarnie, odlewnie czcionek, introligatornie i okazy papieru; 6) motory i generatory parowe, lub jakakolwiek inną poruszane siłą; 7) aparaty hydrauliczne; 8) aparaty używane przy żelaznych kolejach; 9) maszyny do spożytkowania ziemiopłodów, n. p. młyny, gorzelnie i t. d.; 10) środki transportowe na lądzie, morzu i powietrzu; 11) narzędzia przeznaczone wyłącznie na cele wystawy, jak n. p. wielka maszyna Korlissa i mniejsze podobne motory, jakoteż transmisje, przesyłające ruch od środkowego źródła do niezliczonych maszyn, zalegających kilkanaście morgów obszaru.

Okazy wspomnianych grup należały z urzędu do pałacu maszyn. Lecz niestety, wskutek niefortności wyboru zarządu wystawy lub komisji, większość naszych okazów tego rodzaju, jakby wstydząc się małej swój liczby, uciekła do zapyłonych, głuchych zakątów pałacu rolniczego.

Tu znów pozwolę sobie zwrócić uwagę, że w gałęzi przemysłu zaniedbujemy się zupełnie. Nie wiem czy z ubóstwa naszego w Filadelfii pod tym względem wolno mi wnioskować, że kraj nasz popelnia grzech śmiertelny, zaniedbując najważniejszą tę gałąź. Pomimo długiego pobytu za morzami, dolatują mnie wieści o budujących się kolejach, powstających młynach, cukrowniach, gorzelniach, tartakach, odlewniach i t. d. Gdzież ich rysunki i modele? W Filadelfii ich niema!

W szóstym dziale, rolniczym, w pałacu rolnictwa wyłącznie umieszczonym, liczymy grupy: 1) leśnictwa; 2) pomologii; 3) zwierząt domowych; 4) ryb i modeli sztucznego ich hodowania; 5) administracji i inżynierji rolniczej. W tych grupach zupełnie byliśmy niezastąpieni. W grupie zato szóstej, maszyn rolniczych, zawstydzamy Niemcy i Austrią, które nic zgoła nie przysłały. W grupie siódmej, materiałów do tkania, mamy niewiele wełny, lecz doskonałą. W grupie ósmiej, zboża, urządzonej na sposób zbiorowy, woreczki, słoje i snopki z nazwami dobrze znanych gospodarstw zapełniają znaczną część dwóch stelażów, reprezentujących rosyjską wystawę ziarn chlebo-dajnych. W grupie ostatniej, zwaniej przez Francuzów *groupe alimentaire*, zawierającej wszystko, co z surowych płodów sztuka ludzka wyrabia ku karmieniu człowieka, zawstydziliśmy innych w klasie cukrownictwa. Bogata i potężna w cukrownictwie Francja przysłała jeden tylko okaz, w kształcie szafy, zawierającej wyroby słynnej rafinerji pana Say. Niemieckie rafinerje nic nie przysłały. Dwie zaś ogromne szafy, zawierające cukry nasze i kilka okazów z południowo-zachodnich gubernij cesarstwa, tworzą prześliczną i bogatą wystawę

cukrowniczą, podziwianą powszechnie przez cudzoziemców. Nie mogłem przez szyby hermetycznie zamknięte dojrzeć nazwiska każdego fabrykanta, któremu należy się wdzięczne uznanie za udział w tym dowodzie naszej energii, na jednem chociaż polu. Zapewne jednak znają je czytelnicy. Pamiętajcie je, gdyż właściciele ich dobrze zasłużyli się ogółowi.

Nie ufając własnym oczom, przewertowałem katalogi i pytałem sędziów, chcąc się przekonać, ażali wistocie żaden kraj nie wyrównywa naszemu w cukrowniczej wystawie. Nie wierząc książkom i ludziom, niby drugi Tomasz biblijny, co wszystkiego palcem chciał dotknąć, zbiegłem wzdłuż i wszęch dziesięcio-morgowy pałac rolniczy, szukając podobnego zbioru. Dziś śmiało mogę napisać, że nasz, jeżeli nie jest jedyny, to z pewnością najdoskonalszy, i że p. Say nawet nie lepszo od naszych cukrowarów nie wyrabia.

Badania moje co do cukru dowiodły mi także, iż likiery i wódki tutejsze, umieszczone w szafach zbiorowej wystawy całego cesarstwa, zjednały sobie uznanie przysięgłych, pomimo że rywalizują z najpiękniejszymi zbiorami tego rodzaju, z Francji i Holandji przysłanymi.

Dział siódmy, ogrodniczy, był przez nas zupełnie nieobesłany. Cóż więc nas może obchodzić, na ile grup podzielono zagraniczne tego rodzaju okazy?

Zanim przystąpię do krótkiego opisu okazów rękodzielniczych, które mię najbardziej zajęły, wypada mi powtórzyć zdanie nie z własnej głowy wysnute, lecz zaczerpnięte od ludzi znających się na tych wyrobach. Pytałem o nie, nie posiadając sam mądrości sześciuset sędziów wystawowych, i nie śmiąc na ślepo wyrokować o tém, co często bardzo pierwszy raz w życiu widziałem. Znajomi moi, starannie przypatrując się niektórym naszym okazom, orzekli że bez wyjątku są one bardzo dobre, o wiele od niemieckich tegoż rodzaju lepsze i francuzkim nieustępujące. Zauważyli jednak z cen tu i owdzie wypisanych, że produkujemy drożej od zagranicy, mianowicie od Niemiec, co zapewne pochodzi z naszych stosunków społecznych.

Uznać mi tu wypada grzeczność członków i przesa komisji rosyjskiej, względem osób zasięgających informacji. Gdy czas pozwalał, chętnie opuszczali biuro i udzielali objaśnień co do okazów w zamkniętych szafach. Lecz niestety, odległość od biura wielu z gmachów zawierających ciekawsze rzeczy, czyniła niemożliwem bieżanie tam co chwila i trudzenie urzędników. Różnorodne zajęcia członków komisji rzadko im też pozwalały towarzyszyć lada komu do gmachów dalszych.

Zdawało mi się że ludzi do opylania okazów i utrzymywania ich w porządku nie brakowało przy wystawie. Jak to zwykle jednak bywa, gdy służby nie można bezustannie mieć pod okiem, stróżów tych częścię spotykałem palących papierosy u wrót pałaców, niż z trzepaczką w ręku obok powierzonych ich pieczy towarów.

Tak się działo we wszystkich sekcjach, gdzie komisji wyłącznie zostawiano utrzymywanie okazów w czystości. W oddziałach norweskich, duńskich i t. d. widziałem jeszcze grubsze skorupy pyłu, niż na niektórych naszych okazach. Przekonałem się też że nie bardziej nie odstręcza tłum od oglądania choćby najpiękniejszej rzeczy, jak brudy.

Służbę przy oddziale rosyjskim sprowadzono z Europy. Ludzie to zręczni w składaniu szaf i obchodzeniu się z kruchemi okazami; ztąd rzeczy posłane do Filadelfii zapewne wrócą w całości. Kilku tych ludzi chodziło w kaftanach i długich butach, tworzących ubiór robocej klasy w głębi cesarstwa. Strój ten i dźwięk ich mowy były wielką nowością dla obywateli rzeczypospolitej, których wzrok tak rzadko się spotyka z narodowymi strojami. Jak dokoła Japończyków lub Arabów, tak i przy tej służbie zbierały się w pierwszych tygodniach wystawy ciekawe gromadki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

WPLYW CIŚNIENIA POWIETRZA

NA ISTOTY ŻYJĄCE.

Podług

Pawła Bert.

(Dalszy ciąg.)

Godniejszą uwagi jest inna teoria, podana również przez Saussure'a. Na wierzchołku góry Mont-Blanc, mówi on, to jest w wysokości 4,810 metrów, powietrze jest niemal o połowę rzadsze, niż na poziomie morza; ztąd wynika, że wdychając do płuc w danym czasie daną objętość powietrza, wdychamy rzeczywiście tylko połowę tej ilości, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni, a zatem czynność oddychania jest niedostateczną, a mówiąc dokładniej, ilość tlenu zamalą na potrzeby organizmu. Do tego poglądu przyłączył się Martins, dowodząc że zjawiające się w takim razie przyspieszone oddychanie, lubo dąży do zaradzenia temu niedostatkowi, nie jest przecież wystarczającym, gdyż, aby całkowicie brak tlenu uzupełnić, musiałoby być dwa razy szybsze i silniejsze. Wreszcie doktor Jourdanet twierdzi, że wobec dwa razy mniejszego ciśnienia, daleko mniej tlenu rozpuszcza się we krwi, i to jest powodem objawów chorobliwych, podobnych do anemii.

Z wielu stron podniosły się głosy przeciwko tym teoriom. Odpowiadano Saussure'owi, że w atmosferze, choćby rozrzedzonej do połowy, jest jeszcze daleko więcej tlenu, niż go potrzeba do należytego pełnienia funkcji oddychania; odpowiadano Jourdanet'owi, że, wedle pięknych doświadczeń Ferneta, tlen znajduje się we krwi nie rozpuszczony, lecz w postaci związku chemicznego, a zatem jego ilość nie zależy od ciśnienia atmosfery.

Liczne doświadczenia, które w celu rozjaśnienia tej kwestyi przedsięwziąłem, przekonały mnie, że Saussure i Jourdanet mieli słusność; podziwiałem i podziwiam bystrość Jourdaneta, który rozpoznać zdołał u mieszkańców płaskowzgórza Ahuac wpływ zgubny zmniejszonego ciśnienia, który to wpływ, że tak powiem, utajony podczas normalnego stanu organizmu, objawia się z chwilą nadejścia jakiegokolwiek choroby. Przekonałem się, że przypadłości wynikające ze zmniejszonego ciśnienia, bez względu czy to zmniejszenie jest nagłe lub powolne, są prosto następstwem zmniejszenia ilości tlenu we krwi, czyli, jednym słowem, są *zaduszeniem* wśród „czystej i ożywczej atmosfery górskiej.“

Wymienię parę z tych doświadczeń, dowodzących że zmniejszenie ciśnienia atmosferycznego nie działa na organizm mechanicznie, lecz tylko chemicznie i fizycznie, w ten sposób, że nie pozwala krwi zaopatrywać się w potrzebną dla jej funkcji ilość tlenu.

Pod dzwonem maszyny pneumatycznej umieściłem wróbla. Gdy wypompałem powietrze tak dalece, że manometr wskazywał już tylko 30 centymetrów ciśnienia, wróbel dawał oznaki niepokoju; przy ciśnieniu 20 centymetrów zaczynał się chwiać i upadł na bok; przy ciśnieniu 18 centymetrów miotał się konwulsyjnie i zdechłby w ciągu kilku sekund, gdybym go zostawił w tém położeniu. Lecz wtedy wpuściłem niezwłocznie pod dzwon pewną ilość czystego tlenu; ptak natychmiast odzyskuje siły, wstaje, porusza się i żwawo trzepocze skrzydełkami. Po chwili zaczynam znów wypompowywać tlen z pod dzwonu. Zmniejszam ciśnienie stopniowo do 30, do 25, wreszcie do 20 centymetrów i wtedy dopiero ptak zaczyna się trochę niepokoić; dochodzę do 13 centymetrów, a wróbel nie objawia tych przypadłości, jakich byłem świadkiem, gdy pod

dzwonem był nie tlen, ale powietrze, przy ciśnieniu 20 centymetrów. Jest to dowód niezbity, że przyczyną objawów chorobliwych jest nie zmniejszenie się ciśnienia mechanicznego, ale mniejsze natężenie tlenu w powietrzu rozrzedzonym, przez co tlen wtedy nie może w dostatecznej ilości przenikać do krwi i ją odżywiać.

Drugie doświadczenie robiłem na samym sobie i osiągnąłem niemniej ciekawe i godne uwagi rezultaty.

W laboratorium fizyologicznym Sorbony umieściłem aparat, służący do badania wpływu powietrza, zarówno rozrzedzonego, jak i ściśnionego. Są to dwa cylindry z grubej blachy żelaznej, zamknięte hermetycznie, z których powietrze wydobywa się zapomocą maszyny pneumatycznej, poruszanej siłą pary. Zamknąłem się w tym aparacie, zabrawszy z sobą wielki i mocny balon z kauczuku, napełniony czystym tlenem. W miarę wydobywania powietrza z przyrządu, zacząłem doznawać wszystkich przypadłości, towarzyszących zmniejszeniu ciśnienia; oddech mój przyspieszył się, tętna prędzej uderzały, a gdy zrobiłem ruch jakiegokolwiek, przyspieszenie było jeszcze większe. Potem dostałem nudności i wpadłem w stan odrętwienia, tak że zobojętniałem na wszystko i czułem się niezdolnym do jakiegobądź czynności; zrachowałem uderzenia pulsu przez trzecią część minuty i chciałem następnie pomnożyć je przez trzy, ale nie mogłem w żaden sposób tego dokonać. Tymczasem wszystkie te objawy zniknęły, jakby cudem, skoro tylko odetchnąłem tlenem balonu kauczukowego.

W miarę zmniejszania się ilości powietrza w przyrządzie, tętno stawało się coraz szybsze; przy ciśnieniu 41 centymetrów, odpowiadającym wysokości góry Mont-Blanc, liczba uderzeń z 60-ciu wzmożła się do 84. W tej chwili odetchnąłem trzy razy czystym tlenem—tętno spadło natychmiast na 71; poruszyłem się i zrobiłem parę kroków tętno znów podskoczyło na 100 uderzeń; odetchnąłem tlenem—i opadło na 70. W przeciągu jednej godziny i dwudziestu minut przy ciśnieniu 40 centymetrów, dziesięć razy powtarzałem tę próbę, zmieniającą w jednej chwili bieg krwi mojej o dziesięć do dwudziestu uderzeń. Mówiąc jednak nawiasem, nie poddam się po raz drugi takiej próbie, gdyż tego samego wieczora dostałem uderzeń krwi do mózgu, które przypisuję nagłym zmianom krążenia jej podczas doświadczeń.

Natomiast, jeżeli podczas zmniejszonego ciśnienia, wdychanie tlenu odbywa się bez przerwy, to obieg krwi jest regularny i doświadczenie nie sprowadza złych skutków. Zrobiłem w tym celu próbę następującą: wypompałem powietrze do 40 centymetrów ciśnienia; wtedy tętno moje z 60 uderzeń wzmożło się do 85; wzięłem w usta rurkę od balonu z tlenem i puls opadł natychmiast do 65 uderzeń. Oddychałem dalej, a powietrze ciągle wypompowywano, aż do ciśnienia 246 milimetrów, odpowiadającego wysokości Gaurisankaru, do owych 8840 metrów, które omal Glaishera i Coxwella nie pozbawiły życia. Przez cały ten czas tętno moje uderzało od 62 do 66 razy na minutę i objawy chorobliwe, których doświadczałem na początku (przed użyciem tlenu), nie ponowiły się wcale. Obok mnie leżał wróbel, prawie już martwy; wpuściłem na niego prąd tlenu z balonu i natychmiast odzyskał rzeźwość i siłę. Obadwaj wyszliśmy z przyrządu bez żadnego szwanku.

Dwie osoby następnie powtórzyły na sobie to doświadczenie i równie jak ja, doznały objawów chorobliwych i zbawiennego wpływu tlenu; byli to pp. Croce-Spinelli i Sivel, nieszczęśliwi podróżnicy z „Zenitu.“ Croce-Spinelli bardzo rychło zaczął doświadczać skutków rozrzedzenia powie-

trza; w niedługim czasie posiniały mu wargi i uszy, a ja, patrząc przez szybkę umieszczoną w cylindrze na ucho pana Croce, fioletowo-czarne, już kładłem rękę na kurek, aby wpuścić powietrze, gdy aeronauta zdecydował się nareszcie odetchnąć tlenem i odzyskał normalną barwę twarzy, a nawet mógł pisać, gdy tymczasem przed użyciem tlenu—jak mi potem mówił—pociemniało mu w oczach tak dalece, że nie mógł dostrzedz leżącego przed sobą papieru.

Na podstawie tego to doświadczenia obaj wymienieni żeglarze napowietrzni puścili się balonem d. 22 marca 1874 roku i dosięgli 7500 metrów wysokości, odpowiadającej 30 centymetrom ciśnienia; podczas tej podróży doświadczyli osłabienia, nudności, zawrotów głowy, lecz wszystkie te objawy, jak wyrażał się Sivel „znikały po każdym łyku tlenu.“

Drugi raz wzniesli się tymże samym balonem w pamiętnym dniu 15 kwietnia 1875 r. Towarzyszył im Gaston Tissandier. Nie byłem wówczas w Paryżu, nie mogłem przeto czuwać nad przysposobieniem dostatecznej ilości balonów z tlenem, jak to uczyniłem za pierwszą razą; byłbym z pewnością skłonil podróżnych do zabrania większego zapasu. O ile wnosić mogę, śmierć Sivela i Croce-Spinellogo nastąpiła wskutek tego, że spostrzegłszy iż zapas tlenu wyczerpuje się, postanowili użyć go dopiero w ostateczności, a tymczasem ręce im tak zdrętwiały, że nie byli w stanie ująć rurki od naczynia.

Wypadek ten, którego szczegóły opisał dokładnie Tissandier, jest wskazówką, jak przezornym być należy w żegludze napowietrznej, lecz nie powinien zniechęcać do badań naukowych atmosfery. Croce-Spinelli i Sivel postradali życie w wysokości 8600 metrów, a zatem w atmosferze gęstszej niż ta, w której ja bez żadnego szwanku przebywałem podczas opisanych wyżej doświadczeń; z tego wnoszę, że roztopne i obfite używanie tlenu może aeronautów uchronić od apopleksji lub choroby. Nawiasem powiem, że zdziwiło mnie zdanie kilku uczonych, zaprzeczających temu, aby badanie sfer wyższych przedstawiało korzyści dla nauki. Mniemam że dla fizyki, a zwłaszcza meteorologii, niemałym byłoby nabytkiem poznanie dokładne sfery powietrznej między dziesięcioma i dwunastoma tysiącami metrów wysokości, w której biorą początek burze, deszcze, śniegi i grady. Nieroztropnie ten czyni, kto chce nakreślać granice działalności umysłu ludzkiego, lub użyteczności badań naukowych.

Powróćmy jednak do teorii wypadków, będących następstwem rozrzedzenia powietrza. Doświadczenia opisane wyżej dowodzą w sposób niezbity, że wypadki te zależą wyłącznie od ilości tlenu, zawartej w powietrzu którym się oddycha. Aeronauta, będący w atmosferze, której ciśnienie zmniejszone jest do połowy, znajduje się w takich samych warunkach, co człowiek oddychający powietrzem o ciśnieniu zwykłym, ale zawierającym tylko połowę normalnej ilości tlenu; w jednym i drugim razie organizm nie może przyswajać dostatecznej ilości tlenu; ztąd wynika oddech przyspieszony, za którego pomocą chcemy nagrodzić organizmowi ubytek tlenu, ztąd przyspieszone tętno serca, ztąd odrętwienie nerwów i osłabienie mięśni.

Jeżeli podróżny, po takim ubytku tlenu z krwi, nie czyni żadnego ruchu, to osłabienie nie da mu się uczuć zbyt dotkliwie, gdyż organizm, będący w stanie zupełnego spoczynku, niewiele tlenu potrzebuje do zaspokojenia funkcji życiowych. Ale jeśli podróżny porusza się, jeśli pnie się po górach, dźwigając ciężar swego ciała, to dla zadość uczynienia wytwarzaniu siły potrzebuje takiej ilości tlenu, jakiej krew dostarczy mu w tych warunkach nie może; natychmiast przeto pojawiają się

symptomata chorobliwe, które tylko rychły od-poczynek usunąć jest zdolny. Dlatego to aeronau-ci, siedząc spokojnie w łódce, wznoszą się bez szwanku do tej wysokości, na jakiej wędrowcy w Andach i Alpach podlegają już „chorobie gór-skiej.“

Temperatura niemało także wpływa na ukaza-nie się objawów chorobliwych. Im zimniejsze jest powietrze, tém rychlej słabość przychodzi. Jest to bardzo naturalne: gdy powietrze jest cie-płe, wędrownik niewiele potrzebuje tlenu do utrzymania w swém ciele temperatury normalnej. Ale w powietrzu zimnym organizm oziębia się prędzej i przez to potrzebuje obfitszej ilości tle-nu, który mu dostarcza ciepła przez proces od-dychania; lecz i powietrze rozrzedzone i krew zbyt mało wtedy tlenu zawierają, a ztąd znużenie w powietrzu zimnym prędzej następuje; dlatego to, jak nadmienilem wyżej, choroba gór-ska rychlej napastuje podróżnych w Alpach, niż na Hi-malai lub w Andach.

Tak więc przypadłości, wynikające ze zmniej-szonego ciśnienia powietrza, są poprostu zadu-szeniem, któremu można skutecznie zapobiedz przez wdychanie powietrza, zawierającego ilość tlenu większą od normalnej, a tém większą, im zimniejszą jest atmosfera otaczająca.

Przejdźmy teraz do powietrza ściśnionego.

Od lat trzydziestu lekarze, wstępując w ślady Junoda, Praveza i Tabarie'go, posługują się ściś-nionem powietrzem w leczeniu rozmaitych cho-rób; metoda ta leczenia wydała nawet świetne re-zultaty w chorobach takich, jak n. p. niedokrwistość (anemia), chroniczne zapalenia przyrzadów oddechowych, astma emfizemateutyczna i t. p. Pod-czas pobytu w powietrzu ściśnionem, zauważyli zmniejszanie się uderzeń serca i liczby oddychań, a powiększanie głębokości oddychania, czyli jego natężenia. Wspominam o tém mimochodem, gdyż lekarze wogóle powiększają ciśnienie o jedną trzecią albo pół atmosfery, ja zaś zajmowałem się głównie zbadaniem objawów, zachodzących przy ciśnieniu kilku atmosfer.

W przemyśle od lat kilkunastu używa się tak wysokiego ciśnienia do różnych celów, a głównie w dwóch wypadkach: przy budowie filarów mo-stowych i przy połowie koralu, pereł, lub badaniu głębin morskich.

(Dokończenie nastąpi.)

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Nielatwo było Michałowi Aniołowi znieść roz-łączenie z przyjaciółką; to też kilkakrotnie przy-bywała ona do Rzymu, by widzieć się z artystą. On zaś słał do niej ciągle tyle pełnych zapalu li-stów i poezyj, że Vittoria zmuszoną była zalecić mu więcej umiarkowania. Wtedy narysował dla niej Chrystusa na krzyżu, ze wzniesionem ku nie-bu obliczem, jako zwycięzcę śmierci, a w jednym z listów powiada: „Istnieje przysłowie, że kocha-jące serce nie potrzebuje pobudzenia, i drugie które mówi, że kto kocha, ten nie śpi. Nie odzy-wałem się dlatego dotychczas z niczém, ponie-waż miałem na myśli niespodziankę.“ Na drugiej stronie listu znajduje się wiersz, poświęcony pa-lącej kwestyi ówczesnego stulecia, mianowicie py-taniu co do oczyszczenia przez wiarę. „Daj mi odpowiedź, czy u Boga większą łaskę znajdą ci, co pełni pokory zbliżą się do Najwyższego ze swemi grzechami, czy też ci, którzy pełni dumy przystąpią doń z mnogością dobrych swych u-czynków.“

Owaj niespodzianką był obraz, wykonany umyślnie dla cierpiącej przyjaciółki. Przedmiot jego stanowiła Maryja u stóp krzyża, trzymająca mar-twicę Zbawiciela na kolanach.

Przebywszy ciężką chorobę, z podupadłemi si-łami powróciła Vittoria Colonna do Rzymu w 1544 r. Ze wzruszającą łagodnością i delikatnością maluje Michał Anioł zniknięcie jej wdzięków: „Piękność która pierzchła od ciebie, natura zbiera do nowego utworu, ażeby wskrzesić ją kiedyś w kobiecie większej jeszcze słodyczy, a mniejszej surowości.“

Zgon Vittorii w 1547 r. wstrząsnął do głębi Michała Anioła. W jakiś czas potem uskarżał się, że żał mu iż tylko rękę zmarłej ucałował, a nie czoło i policzki. Pocięszal się jedynie przedświadczeniem, że ona żyje, że jej ślawa nie zaginie. Gdyby mógł jej towarzyszyć, to droga śmierci byłaby mu lekką; jak za życia była mu słońcem i pochodnią, kierującą jego krokami, tak i po zgo-nie zawiodłaby go do niebios.

W tych to latach reformatorskich wstrząśnień i oczekiwań malował Michał Anioł Sąd ostateczny, na ołtarzowej ścianie kaplicy sykstyńskiej. I tu zerwał on z tradycją i zamiast całość sceny w jej głównych momentach epicznie unaoecznić, przedstawiając wspaniały kontrast pomiędzy Chry-stusem w spokojnej glori, otoczonym przez świę-tych i aniołów, a cierpieniami i trwogą potępio-nych, wybrał artysta chwilę, gdy Chrystus rzuca słowa potępienia na grzeszników. Moment ten staje się punktem wyjścia dla wielce dramatycznej kompozycji: Chrystus, pełen gniewu, ciska pio-run pomsty i kary; oblicze jego nosi piętno ener-gii; aniołowie w locie unczą narzędzia mę-czeństw, a męczennicy wskazują świadectwa swych cierpień i śmierci grzesznikom, którzy mimo tylu ofiar za nich poniesionych, nie poprawili się prze-cie. Maryja sama, zarówno jak i ulatujący ku nie-bu wybrani, przejęta jest strachem i niepokojem; potępiency, którzy z dumą Tytanów usiłują się wdrzeć do nieba, zostają w walce z aniołami strąceni w przepaście. Obraz ten jest jednostron-nym. Artysta, który jak bohater walczył z bóla-mi życia, pełen zgorznienia nad zepsuciem świata, stawia go przed sądem, jak to przedtém wieszcz „Piekle“ uczynił. Patrząc na ten utwór, czujemy tętno sumienia ludzkości; nie odpust pieniądmi kupiony, nie ceremonie, lecz żal prawdziwy, mi-łosierne czyny i zdanie się na wolę Bożą—torują drogę do zbawienia. Te reformatorskie myśli, przy surowej powadze, to przedstawienie Boga jako groźnego i żarliwego Jehowę ze Starego te-stamentu, ukazują nam w artyście, obok ognistej Dantejskiej duszy, jeszcze zarody purytanizmu, który wkrótce w Anglii miał utworzyć nieubłaga-ny trybunał i w Miltonie znaleźć swego przed-stawiciela. Wszelkie osłony tu opadły: ludzkość w zupełnej nagości stoi przed okiem Wszech-widzącego Sędziego, przed którym nie się nieukry-je. Uwydatniając tę ideę, artysta przedstawił wszystkie postacie bez ubiorów, co pozwoliło mu rozwinąć całe mistrzostwo techniki w odtwarza-niu rozlicznych postaci i ruchów ciała ludzkiego. Obok dopiero co rozbudzonych ze snu śmierci, widzimy podnoszących się, stających na ziemi, do góry wstępujących i ulatujących w powietrze. Walka potępionych z szatanami, w powietrzu się odbywająca, pełna namiętniej, rozpaczliwej zacie-kości, dała mistrzowi sposobność do najsmiel-szych rysów i najniezwykłych naprężeń w cia-łach walczących i spadających w przepaście. Pod tym względem, jak i w odtworzeniu przerażenia na twarzach potępionych, Michał Anioł budzi najwyższy podziw i nie ma sobie równego. Nie-wypowiedziane cierpienie potępionca, który pochwycony przez trzech szatanów, spada pod ciężarem swych grzechów w otchłań piekielną, daje się porównać jedynie ze scenami, w których Sze-kspir stawia Ryszarda III lub lady Makbet przed trybunałem ich własnego sumienia. Sposób przed-stawiania szatanów przypomina Dantęgo i ztąd, przy zatraceniu rysunków jakimi ozdobił Michał Anioł swój egzemplarz Boskiej Komedyi, może-my uważać Sąd ostateczny jako dzieło stworzone pod wpływem tego poematu. Nagość postaci wy-dawała się pobożnym rażą; Paweł IV żądał od artysty usunięcia tego, na co mistrz odrzekł, że papież może świat cały poprawiać, ale nie jego o-brazy. Później znacznie Daniel z Volterra usiło-

wał poślaniać tę nagość rozlicznymi mazaninami, przez co zyskał sobie miano malarza spodni.

Michał Anioł zaczął sześćdziesiąty rok życia, gdy dokończył powyższego obrazu; następnie ma-łował w jednej z watykańskich kaplic Nawrócenie św. Pawła i Ukrzyżowanie św. Piotra. Pojedyn-cze szczegóły uderzają nas tu jeszcze swą wielko-ścią, choć kompozycje same ustąpić muszą tape-tom Rafaelowskim. W 1545 r. został nareszcie ustawionym pomnik dla Juliusza II, jednakże nie w kościele św. Piotra, jak zamierzono przed laty trzydziestu, lecz u św. Piotra w okowach, i to przy zmniejszeniu rozmiarów i w skromnym za-knięciu pod ścianą.

Z pod ręki Michała Anioła wyszły także dwa mniej udane posągi Lei i Racheli, jako uosobie-nie czynnego i kontemplacyjnego życia, tudzież siedzący Mojżesz, główna ozdoba całego pomni-ka. Patrząc na Herkulesową budowę ciała w od-słoniętej wyższej połowie, na gniew piorunują-cy w obliczu Mojżesza, oczekujemy iż lada chwila zerwie się z groźnym wybuchem przeciw czcielom złotego cielca. Jak to już wspominali-smy, Mojżesz ten pierwotnie miał uosabiać czyn-ne życie, w przeciwstawieniu do duchowej kon-templacji św. Pawła; w rzeczywistości jednak sama tylko namiętna energia tryska z jego rysów. Chwyta on prawą ręką za brodę, jakby chciał na chwilę jeszcze powstrzymać wybuch tej energii, i to ujęcie samego siebie stanowi zarówno pod duchowym, jak fizycznym względem niespodziany, zadziwiający motyw. Możliwe z wszelkiem praw-dopodobieństwem twierdzić, iż Michał Anioł pragnął wyrazić w Mojżeszu własny gniew i ból, jaki w nim budziła sprawa reformy kościelnej i swobody ducha ludzkiego, którego ponownie zakuto w pęta formuł i obrzędów.

Energiczny, za podniosłymi przedmiotami i for-mami uganiający się duch Michała Anioła, nie znajdował dla siebie dość pola w stalugowych u-tworach; czuć go jednak w freskach i olejnych malowidłach, wykonywanych przez uczniów mi-strza pod jego kierunkiem i często według jego własnych szkiców. Przypominamy tu jego „Mar-zenie.“ Nagi człowiek spoczywa na kamienną ławce, ozdobionej maskami, jako symbolami o-myślności i uludności; dokoła niego, napół w obłokach, unoszą się postacie życia, miłości, przemo-cy, zmysłowego używania i gnuśnej ospałości, zgóry zaś nadlatuje geniusz, przywołujący spią-cego do upamiętania się odgłosem trąby.

Od 1546 r. kierował Michał Anioł budową ko-ściola św. Piotra, zajmując się tém bez żadnego wynagrodzenia, jedynie dla chwały Bożej. W ol-brzymiej kopule zostawił nieśmiertelny pomnik swego potężnego geniuszu. „Prawdziwa sztuka, powiada mistrz, jest szlachetną i pobożną, wsku-tek ducha jaki nią kieruje. Nie tyle nie czyni du-szy czystą i pobożną, jak praca nad stworzeniem czegoś doskonałego. Bóg jest doskonałością i kto za nią goni, ten dąży ku Bóstwu. Prawdziwe ma-larstwo jest tylko odbiciem doskonałości Boga; stara się ono, by każdej przedstawionej rzeczy nadać ten stopień doskonałości, jakiego ona warta i do jakiego zdolna. Malarstwo prawdziwe jest cieniem penzla którym On maluje, jest melo-dyą, jest dążeniem do harmonii.“

W starości swiej Michał Anioł stawał się coraz posępniejszym i więcej zamilowanym w samotno-ści; wzrok słabnął stopniowo, a dusza zato tém swobodniej zwracała się ku niewidzialnemu i wie-cznemu, wobec czego najwspanialsze ziemskie rzeczy wydawały się znikomemi i małoważnemi. Myśl jego zwróconą była ku łasce Bożej, której godnym stać się pragnął, wyznając swe winy i błędy i żałując szczerze za takowe. Ufał on je-dnakże miłości Bożej, iż go przez ciemności ku światłu poprowadzi, jak o tém świadczą dwa wspaniałe sonety, mogące wybornie uzupełnić i zamknąć naszą ocenę działalności i geniuszu Mi-chala Anioła. „Życie moje—powiada artysta-po-eta—po burzliwych falach na słabiej łodzi przy-biło do portu, gdzie winniśmy wszyscy zdać ra-chunek, tak ze złych, jak i z dobrych czynów.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)